

Biuro
Instytut. badań
Literackich

P. II, 376

Wydawnictwa rok VI
Dnia 14 października 1928 r.

Nr. 267

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Reminiscencje z przed stu laty.

NIEDYSKRECJE:

Kampanja wyborcza w Stanach Zjednoczonych	658
„Dyktator finansowej” Francji	”
Niedyskrecja dziennikarska	”
Minęły czasy uczciwej walki politycznej	”
Skład parlamentu brytyjskiego	”
Wybory do sejmu łotewskiego	659
ENDECKIE NIEPOKOJE Z PRZYCZYN AMERYKAŃSKICH Leopold Tomaszewicz	”
REMINISCENCJE Z PRZED STU LATY I. Gruzewski	661
MIASTO FASCYNUJĄCE WSZYSTKICH St. Poraj	662
FRANCUZI O POLSCE M. Czapska	664
ORGANIZACJA BIBLIOTEK PUBLICZNYCH W CZECHOSŁOWACJI J. Filipkowska-Szemplińska	665

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Na wiecu Juljusz Kaden-Bandrowski	666
Świt	667
Wieczór Bronisław Zimnowoda	668
Na marginesie jkb.	”
Nowości francuskie J. C.	669
Poloniki słowiańskie tgl.	670
„Wiryneja” Lidji Sejfuliny M. J. Toporowski	”
Nad książką mt.	671
Z bibliofilskiej antologii Wybrał Este	”
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	672

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54.

Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

KAMPANJA WYBORCZA W STANACH ZJEDNOCZONYCH rozgorzała w całej pełni. Wszystkie tryby fantastycznej reklamy amerykańskiej, posługującej się najnowszymi wynalazkami, puszczane zostały w ruch. Elektryczność, radio, światło, dźwięk, barwa — wszystko to zapragnięte zostało do służby walczących o władzę stronnictw. Gdziekolwiek obywatel sięgnie wzrokiem, dokoła siebie czy w górę, na niebo, wszędzie widzi nazwiska Hoovera lub Smith'a. Kto zwycięży. Pytanie te emocjonuje masy. Według przypuszczeń Hoover ma co najmniej dwa razy większe szanse od Smith'a, lecz wynik wyborów często bywa niespodzianką. Jaka jest różnica pomiędzy programami zmagających się obozów: republikańskiego z demokratycznym? Na to jeszcze trudniej odpowiedzieć. Od wielu dziesięcioleci pytanie stanowi zagadkę dla amerykańskiej opinii publicznej. Sami Amerykanie określają tę różnicę w ten sposób, że: gdy republikanie są u władzy demokraci starają się ich wyprzeć, i *vice versa*. Innych różnic zasadniczych, szczególnie w czasach ostatnich, trudno tu dopatrzeć, poza posunięciami taktycznymi mniejszej wagi. Jest to więc walka zorganizowanych kategorii, wybitnych przywódców, techniki partyjnej a nie prądów politycznych. Pewną nowość do wyborów obecnych wnosi fakt, iż gubernator Smith jest katolikiem — dotychczas wyznawca katolicyzmu nie zasiadał jeszcze w Białym Domu — i przeciwnikiem bezwzględnej prohibicji, popieranej przez znaczny odłam jego własnego stronnictwa. Ale posiada on także walory osobiste, jest tak powszechnie lubiany i popularny, że trudno było demokraciom o wystawienie niebezpieczniejszego dla Hoovera współzawodnika. Lecz gdyby nawet — co wydaje się wysoce nieprawdopodobne — udało się Smithowi osiągnąć zwycięstwo, to zmiana ról miałaby minimalny wpływ na ogólne wytyczne polityki Stanów Zjednoczonych, zarówno w dziedzinie wewnętrznej, jak i zagranicznej.

„DYKTATOR FINANSOWEJ” FRANCJI, premier Poincaré, skrzyżował szpadę z lewicą na komisji skarbowej parlamentu. Chodziło o szereg zmian w przedłożonym przez rząd preliminarzu budżetowym. Poincaré wykazał i tym razem swą nieugiętą wolę, kategorycznie żądając od komisji przyjęcia budżetu w brzmieniu rządowym bez jakichkolwiek poprawek. Na czoło narastającego (epilog bowiem rozegra się zapewne podczas sesji parlamentu) konfliktu między partjami umiarkowanymi a dawnym karterem lewicy wysuwa się ugodowa polityka rządu Poincaré'go w stosunku do Kościoła Katolickiego. Znalazła ona swój wyraz również i w preliminarzu budżetowym, przewidującym zwrot władzom kościelnym sekularyzowanych po roku 1901 gruntów, które nie przeszły w międzyczasie do rąk osób prywatnych, a dotąd stanowią własność państwową. W dalszym ciągu projekt ustawy budżetowej przewiduje udzielenie kredytów na wspomaganie działalności tych francuskich kongregacji katolickich, których celem jest szerzenie oświaty i uprawianie akcji filantropijnej. W ten sposób zostałyby zalegalizowane po dwudziestokilkuletniem wygnaniu, zakony rzymsko - katolickie i stowarzyszenia misyjne. Jeszcze poprzedni gabinet Poincaré'go w roku 1923 zamierzał przeforsować w parlamencie analogiczny projekt ustawy. Maurycy Barrés uzasadniał wówczas projekt noweli rządowej koniecznością przyjęcia z pomocą działalności kulturalnej francuskich misyj katolickich, które rozwijają akcję oświatową na Bliskim i Dalekim Wschodzie, w Afryce Środkowej, w Ameryce Południowej, szerząc francuską kulturę i francuski język. Zakonnicy francuscy, mówili w owym

czasie Barrés, w znacznym stopniu przyczyniają się do rozwoju wpływów Republiki w krajach egzotycznych, jakkolwiek czynią to bez najmniejszej pomocy materialnej lub moralnej ze strony władz Republiki, wówczas gdy inne misje chrześcijańskie, korzystając z wybitnej współpracy swych rządów, znajdują się w bardziej uprzywilejowanym położeniu. — Nie jest rzeczą ustaloną, czy tylko tymi względami powodował się rząd Poincaré'go w chwili obecnej, czy też, jak twierdzą socjaliści, istnieje jakiś tajny układ między rządem francuskim a Watykanem, mający na celu zniesienie ograniczeń, stosowanych wobec Kościoła Katolickiego. W każdym bądź razie, z punktu widzenia prawdziwej demokracji, uznającej wolność stowarzyszeń i wolność sumienia, obiekty „kartelistów”, o ile nie wchodzi w grę znaczne obciążenie skarbu Republiki, uważać należało za niesłuszne.

NIEDYSKRECJA DZIENNIKARSKA przestaje być zwykłą niedyskrecją, gdy w grę wchodzi tak poważne czynniki, jak utrzymanie dobrych stosunków między wielkimi mocarstwami, zwłaszcza w obecnej „naładowanej elektrycznością” atmosferze międzynarodowej. Pomijając więc kwestję, w jaki sposób paryski korespondent prasy Hearst'owskiej Harold J. T. Horan znalazł się w posiadaniu tajnego dokumentu wykradzonego z archiwum dyplomatycznego, ten jego „rekord” nie przyniósł mu zaszczytu. Jasnym jest bowiem, że powodowany żądzą sensacji korespondent pism amerykańskich nie mógł nie zdawać sobie sprawy, jakie wrażenie wywoła w świecie dyplomatycznym podanie treści anglo - francuskiego paktu morskiego do wiadomości publicznej, i jak ujemnie wpłynąć ono może na stosunki francusko - amerykańskie. Jeśli zaś chciał on się tylko przysłużyć swej ojczystej dyplomacji, mógł oddać odpis „kompromisu morskiego” w ręce najbliższej amerykańskiej placówki dyplomatycznej. To też ogłoszenie wykradzonego dokumentu w prasie Hearst'owskiej zrozumieć można tylko jako wrogi względem Francji wystąpienie.

„MINEŁY CZASY UCZCIWEJ WALKI POLITYCZNEJ”, powiedział niedawno pewien europejski mąż stanu. Jaskrawą ilustracją do tego ponurego aforyzmu dali w ubiegłym tygodniu komuniści berlińscy, uprowadzając za miasto mówcę socjalistycznego, który miał wygłosić przez radio odczyt na temat rozbrojenia, miejsce zaś jego przed mikrofonem zajęł sekretarz komunistycznej frakcji Landtagu pruskiego Schultz. Zmyliwszy czujność speaker'a i specjalnego „kontrolera radiowego”, Schultz wygłosił wybitnie komunistyczne przemówienie do słuchaczy berlińskiego „broadcastingu”, poczem znikł w obawie przed aresztowaniem. Partja komunistyczna istnieje w Niemczech legalnie, wydawnictwa partyjne rozpowszechniane są bez żadnych przeszkód, wiece i zgromadzenia komunistyczne nie doznają ograniczeń. Komuniści niemieccy mają więc mnóstwo innych środków przemawiania do szerokich mas ludności, bez uciekania się do podstępów. Niktby nie bronił temuż Schultzowi wydrukowania swego przemówienia w kilku milionach egzemplarzy i rozesłania tym prowincjonalnym Michelom i Gretchen, których i tak figiel radiowy nie nawrócił na „wiarę moskiewską”. To też zupełnie naturalnym odwetem jest sprawiedliwość, jaką wymierzyl sobie członek redakcji „Vorwärtsu”, socjalista Schiff: spotkawszy przypadkowo Schultza w wagonie kolei podziemnej Schiff (z zawodu kowal) „porachował” się z nieuczciwym przeciwnikiem przy pomocy... pięści.

SKŁAD PARLAMENTU BRYTYJSKIEGO, jakkolwiek wybory są jeszcze dość oddalone, poważnie absorbuje opinię angielską w związku z odbywającymi się zjazdami wielkich

partij politycznych. Jeden z najpoważniejszych znawców stosunków w Zjednoczonym Królestwie, słynny publicysta Garvin przewiduje w „Observerze”, iż konserwatyści stracą przy ziele, aniżeli się przywódcy torysów spodziewają. Oczywiście najbliższych wyborach wiele mandatów, więcej w każdym razie tę uzyskają liberalowie, a szczególnie Partja Pracy, która osiągnie prawdopodobnie 270—280 miejsc w Izbie Gmin. Lloyd George'owi, przy całym jego sprycie i przebiegłości, nie uda się przyciągnąć na swą stronę nawet mniej stałych konserwatystów lub socjalistów. To też whigowie kontentować się będą musieli conajwyżej 80-ciu mandatami. Garvin przypuszcza, że nawet w wypadku bliższej współpracy Labour Party z liberałami (co zresztą jest przy obecnej sytuacji gospodarczej dość problematyczne) dotychczasowa opozycja nie byłaby w stanie utworzyć trwałego rządu, gdyż daleko idące reformy społeczne socjalistów w żadnym razie nie uzyskają większości w Izbie Gmin. Pozostawienie u steru obecnego rządu przy niepewnej większości konserwatystów utworzyłoby i dla Baldwina trudną sytuację. O współpracy torysów z liberałami również nie może być mowy. Cóż więc pozostaje?

Zdaniem Garvina, nowy parlament zostanie rozwiązany wkrótce po zwołaniu, a uczyni to każdy rząd, czy to Baldwina, czy Mac Donalda. Dopiero drugie wybory skryształizują angielskie stosunki polityczne, wytwarzając trwałą i pewną większość lewicy lub prawicy.

**

WYBORY DO SEJMU ŁÓTEWSKIEGO nie przyniosły prawie żadnych zmian. Jedyne socjaliści stracili pięć mandatów na rzecz komunistów, co zresztą było do przewidzenia, w związku z szaloną propagandą bolszewicką i jawnym udziałem Moskwy w agitacji przedwyborczej. Socjaliści nadal jednak zostaną najliczniejszym w sejmie ugrupowaniem, jakkolwiek bieżącej większości nie posiadają. Mniejszości narodowe utrzymały swój stan posiadania, przyczem zaznaczyć wypada, że listy polskie, które, jak i przy wyborach poprzednich przeprowadziły 2-ch posłów do sejmu łotewskiego, w Letgali i Zemgali zyskały znaczny przyrost głosów. Prasa łotewska nie przewiduje większych zmian w rządzie prawicowo - centrowym, który przy współudziale mniejszości narodowych nadal cieszyć się będzie zaufaniem większej części Izby.

ENDECKIE NIEPOKOJE Z PRZYCZYN AMERYKAŃSKICH

W niedzielnym „Warszawskim Kurjerze” X. Kneblewski pomieścił artykuł, poświęcony wychodźwu polskiemu w Stanach Zjednoczonych z okazji zmian w Zw. Narodowym Polskim, przyczem wyraża niezwykle ubolewania z powodu klęski „starej gwardji” na ostatnim sejmie Zw. N. P. Pomijając fakt, iż wyrok sądu amerykańskiego w sporze pomiędzy starą gwardją a obozem postępowym wcale nie był przyznaniem racji starej gwardji, lecz obiektywnym stwierdzeniem, że Sejm w Hotelu Sherman, a więc nie starej gwardji, ma dalej prowadzić obrady — należy podkreślić, że wynik obrad i głosowań dał dokładny wyraz zmiany stosunków za Oceanem, że na cały nowy zarząd zaledwie jeden członek utrzymał się ze starej gwardji. Z tego zaś tytułu niema najmniejszej potrzeby rozdzierania szat, gdy przedstawiciel starej gwardji tam na miejscu złożył oświadczenie współpracy z nowym obozem rządzącym Zw. N. P. — niema tem więcej, iż obrady filadelfijskie złączonych komitetów im. Piłsudskiego, a więc najruchliwszy społecznie element Polski za oceanem również okazały pełną życzliwość i dały zapewnienie współpracy ze Zw. N. P. Owszem, cieszyć się wypada, iż nareszcie zarysowują się możliwości utworzenia wspólnego frontu polskiego za Oceanem, że przekreślone są antagonizmy i urazy z czasu wojny, a nowe życie wnosi świeży element z hasłami realnej pracy w imię potrzeb wychodźstwa.

Dlaczego ten stan rzeczy ma grozić, wedle zdania ks. K. polskości — nie pojmujemy. Wszak przez dziesiątek lat ostatnich rządziła stara gwardia w Zw. N. P. — i doprowadziła do tego, iż dzisiejszy stan wychodźstwa jest oplakany pod względem siły, uświadomienia, spójności, wytwórczości, że cała ta gospodarka złożyła się na to, iż naprawdę dalsze

panoszenie się starogwardzistów groziło niebezpieczeństwem dla polskości. Świeży powiew życia, świeże siły, inicjatywa, odwaga i chęć pracy mogą wnieść w życie wychodźstwa coś istotnie twórczego. Ks. K. odmawia prawa przedstawicielstwu całości wychodźstwa, reprezentacji, wyłonionej za staraniami owego nowego obozu, t. zw. lewicy. Z powodu? Pojedyncze oświadczenia jednej i drugiej strony świadczyłyby o czemś inem. Dlaczego ks. K. jest jeszcze tu nieprzejednany, gdy tam, gdzie ludzie tych rzeczy dotyczą się znacznie bliżej — nieprzejednanie znikło. — Czy nie zbyt gorące zmartwienie na zadatek?

Oddajmy zresztą w tej sprawie głos Polakom z Ameryki. Jak się tam ocenia pracę „starej gwardji” i jakie horoskopy stawia się nowemu zarządowi?

Oto, co pisze „Dziennik Chicagoski”, a więc zgola nie lewicowy organ:

„Jedną z najbliższych trosk nowego Zarządu Centralnego Z. N. P. będzie sprawa nagła, sprawa pałaca — sprawa zajęcia się naszą dorastającą młodzieżą. Wymaga ona jednak bardziej szczegółowego omówienia co do najlepszych metod skutecznego działania i dlatego narazie trudno ją głębiej dyskutować. I ten punkt związkowcy przyjmą niezawodnie z uznaniem, albowiem do tej pory więcej się mówiło o asekurowaniu młodzieży, a mniej, albo wcale się nie mówiło o jej wychowaniu. Nietylko zresztą związkowcy, lecz całe wychodźstwo będzie z zaciekawieniem wyglądało pracy na tem polu narodowym, leżącym dotąd odłogiem.

Ale najbardziej zdumieni będą związkowcy faktem, że wbrew wszelkim zapowiedziom przedsejmowym o „ataku czerwonych na Związek” — nic z tych zapowiedzi nie pozostało i jesteśmy przekonani, że i w przyszłości one się nie ziszczą. Związek się nie zmieni pod względem koloru. Obecny Zarząd Centralny nie przemaluje sztandarów związkowych i będzie je szanował i o czystość ich dbał z troską nie mniejszą, niż Zarząd poprzedni. Jedyna

zmiana będzie pewnie taka, że obecnie mniej będzie strojnych frazesów patriotycznych, lecz wewnątrz pustych. A to przecie nie żadna szkoda, przeciwnie, to pożytek dla społeczeństwa, które za dużo miało fajerwerków patriotycznych, a za mało treści. Mniej będzie „plszek, które ogonki swoje chwala”.

W ten mniej więcej sposób przejść można cały szereg zagadnień zaniedbanych w dotychczasowej pracy Związku, a poruszonych dopiero przez nowych „zdobywców”.

Obecna jesień obfitowała wśród Polonii Amerykańskiej w Zjazdy. I tak, po Sejmie Zw. N. P. odbył się w Filadelfji Zjazd Zjednoczonych Komitetów im. Piłsudskiego. Obrady wykazały imponujący rozwój Komitetów oraz wielką spójność organizacyjną. I niższa rezolucja mówi za siebie tak wyczerpująco, że komentować jej nie trzeba:

„Złączone Komitety Piłsudskiego nie są ani partją ani obozem. Jesteśmy zreszezeniem Polaków i Polek na wychodźstwie, którzy wierzą w Polskę wielką mocarstwową, w demokrację, w postęp i w genjusz wskrzesiciela Polski, Marszałka Piłsudskiego. Zadaniem naszym jest pracować wśród ludu polskiego na wychodźstwie w myśl powyższych wskazań. Naszym hasłem jest wychodźstwo dla Polski, a celem naszej pracy jest szerzyć wśród ludu polskiego i szczególnie w młodem pokoleniu miłość dla Polski i zrozumienie jej wielkiej przeszłości i jeszcze większej przyszłości, jaka ją czeka pod kierownictwem Marszałka Piłsudskiego i ludzi dobranych przez niego i wyszkolonych do pracy państwowej.

Widzimy przyszłość najlepszą dla ludu polskiego na wychodźstwie w zgodzie, miłości bratniej i zrozumieniu wymagań ducha czasu, który nakazuje iść naprzód za przykładem największych i najlepszych ludzi w naszym narodzie. Cieszymy się bardzo, że największa polska organizacja na wychodźstwie Związek Narodowy Polski weszła na drogę, którą my idziemy. Obiecujemy współpracować ściśle ze Związkiem N. P. i polecamy naszym członkom i członkiniom, aby wstępowali do tej pięknej organizacji.

Wzywamy cały lud polski na wychodźstwie, aby bez względu na różnice partyjne, religijne i społeczne skupiał się dokoła imienia Józefa Piłsudskiego i pracował zgodnie nad utrzymaniem polskości młodego pokolenia głównie przez polskie szkoły kształcające.

Niech żyje Polska mocarstwowa i demokratyczna!

Niech żyje Prezydent Mościcki!

Niech żyje Komendant Piłsudski!”

Od tego wielkiego planu pracy, znajdującej ujście w budowaniu potęgi Polski w duszach polskich na wychodźstwie, a przez nie w świecie nam obcym, od owej nowej, a tak starej ideologii tworzenia rzeczywistej siły polskiej i zapewnienia jej wyczystej ekspansji — jakżeż dziwnie, a ogromnie odbija inny zjazd, zjazd „Zjednoczenia P. R. K.”.

Organizacja ta, datując początek swego istnienia od r. 1887, nie może pochłubić się zbytnim efektem pracy, skoro redaktor „Nowin Polskich”, a więc organu zbliżonego bardzo silnie do „Zjednoczenia”, uznał za właściwe przy omawianiu prac

Sejmu Zjednoczenia, stwierdzić, że między wychodźstwem pozostały już tylko resztki języka polskiego w kościołach i szkołach parafjalnych”. Gdzież tu praca „Zjednoczenia”, które na sztandarze swym wypisało obronę katolicyzmu i polskości?

Oddajemy jednak znowu głos piśmu wychodźstwa polskiego w Ameryce, wcale nie radykalnemu. Oto, co w niem czytamy w sprawie obrad Sejmu Zjednoczenia:

„Najwięcej miejsca w rzeczowej części sprawozdania poświęca pan prezes zagadnieniom asekuracyjnym, fachowym, co najlepiej świadczy o ideowym punkcie ciężkości organizacji, mianowicie asekuracji. Strona intelektualna, kulturalna, znajduje swój wyraz wzmiance o bibliotece zjednoczeniowej. W sprawozdaniu mówi się o niej, że „nie przynosi wielkiej korzyści, gdyż książki są jeszcze z przed wojny światowej. Chcąc uczynić ją użyteczną — mówi pan prezes — trzeba zakupić nowych książek za kilka tysięcy dolarów.

Książki z przed wojny nie należą do starych. Przeciwnie, uważa się je za nowe. Wszak to dopiero czternaście lat, którego to czasu nie można nazwać starożytnym. Polecenia prezesa co do biblioteki są niewątpliwie dobre, lecz powinno się je uzupełnić uwagami, dlaczego zjednoczenicy nie korzystają ze swojej biblioteki? Chyba nie dlatego, że książki w niej stare, gdyż i z tych starych książek dowiedzieliby się wielu rzeczy, o których dzisiaj mają albo bardzo słabe pojęcie, albo też nic nie wiedzą. Przyczyną tego jest niewątpliwie fakt, że Zjednoczenie nic nie zrobiło, aby rozbudzić zamiłowanie do czytania książek. Jeśli się tego nie zrobi, to szkoda paru tysięcy dolarów na nowe książki, które w pył i pleśń będą porastały”.

Dalszym dowodem zupełnego ideowego bankructwa prawicy wśród wychodźstwa jest choćby taki drobny pozornie fakt, jak ten, iż na Sejmie „Stowarzyszenia Polaków w Ameryce” nie pozwolono wogóle mówić o organizacji czysto endeckiej, jaką jest t. zw. „Proso” (Polska Rada Opieki Społecznej”.

Wyrazem bankructwa prawicy jest też radykalny spadek nakładów piśm postępowych. Wedle siennej się zaś nakładów piśm postępowych. Wedle pobieżnej oceny możnaby ustalić, że suma wszystkich endeckich nakładów nie przekracza obecnie cyfry 20,000, podczas gdy organy centro-lewicowe pochłubić się mogą wzrostem nakładów w sumie do 150 — 200 tysięcy. Nie jest to oczywiście zbyt wiele, gdy się weźmie pod uwagę czteromiljonową rzeszę polską w Stanach Zjednoczonych. Ale jeśli przyjąć, że doniedawna jedno piśmo endeckie miało nakładu do 30,000, nie licząc „Dziennika Związkowego” o nakładzie około 40.000 egz. — to przemiana w opinii wystąpi w całej rozciągłości i ogromie.

Przemiana ta ma swe znaczenie dla Polonii amerykańskiej, ma i dla Polski. Czy miarodajne czynniki w Polsce potrafią z tych przemian wytworzyć trwałe wartości, umocnić fundamenty pod niezniszczalność elementu polskiego i jego siły twórczej dla wychodźstwa i kraju, czy zdołają przebudzeniu temu dać wysokiej wartości karm codzienną i dopomóc w rozwoju odrodzenia?

Leopold Tomaszewicz.

REMINISCENCJE Z PRZED STU LATY

Wojna, którą carat prowadził z Turcją w latach 1828 — 29, rzuca wiele światła na ówczesną sytuację europejską i na dane powstania listopadowego. Jesień z przed stu laty była okresem niepowodzeń rosyjskich na widowni bałkańskiej i prób interwencji dyplomatycznej ze strony antagonistów caratu.

Niepowodzenia te były sensacyjną niespodzianką dla ówczesnej Europy, pozostającej pod przygniatającą hyпноzą 1812-go roku i mającej nader przesadne wyobrażenie o militarnej potędze Rosji. Tymczasem stara skolatana Turcja, wstrząsana w dodatku powstaniem greekiem i buntami wewnątrz państwa, umiała tej potędze stawić tak silny opór, że do końca tego roku moskale nie odnieśli żadnych poważniejszych wyników i dla uratowania swej zachwianej opinii wojskowej musieli podjąć nową kampanję.

Tu wszakże zaczęła się akcja dyplomacji zachodniej, która próbowała przeszkodzić dalszej wojnie i narzucić Rosji pokój; łatwo zrozumieć, że w danych okolicznościach pokój ten byłby dla niej porażką polityczną i plamą na jej sławie wojskowej, która nagląco wymagała rehabilitacji. To też car postanowił odeprzeć wszelką interwencję. Przeciw poczynaniom Metternicha, który był jej właściwym inicjatorem i przygotował już grunt w Londynie, dyplomacja carska zapewniła sobie pomoc burbońskiej Francji, a poniekąd i Prus. Aby mieć po swej stronie przeciw Austrii Polskę, Mikołaj zdecydował się koronować w Warszawie na króla, co bynajmniej nie było do tej chwili pewne. Dyplomacja rosyjska odniosła zwycięstwo, Metternich musiał się cofnąć i Moskale z wiosną następnego roku mogli wznowić kampanję z lepszym przygotowaniem niż poprzednio. Dybicz otrzymał naczelne dowództwo i został uwolniony od szkodliwej kurateli cara, który powrócił nad Nową.

Tym razem rzeczy poszły o wiele lepiej. Dybicz zdobył Sylistrię, pobił armję turecką, przeszedł Bałkany, zajął Adrjanopol, a jego podjazdy zbliżyły się do Konstantynopola.

Przerażony sułtan prosił o pokój, który też wkrótce został podpisany w Adrjanopolu.

W istocie, jak to wykazał w swej znakomitej pracy o kampanji 1828—9 roku młody jeszcze, a później wslawiony Moltke, sułtan pośpieszył się nierozważnie z zawarciem pokoju. Dybicz był w sercu państwa otomańskiego, ale położenie jego bynajmniej nie było do pozazdroszczenia. Jego rzekoma „armja“, po przejściu Bałkanów, stanowiła de facto korpus, liczący niewiele ponad 20 tysięcy wojska. Z tego stopniała wkrótce więcej niż połowa od chorób i wyczerpania, tak iż zwycięzca miał pod ręką tylko garść żołnierzy, która nie wystarczała do żadnej poważniejszej operacji.

Gdyby turcy o tem wiedzieli, mogliby się pokusić o zniszczenie Dybicza i nadanie wojnie innego obrotu. Ale nawet dyplomacja zachodnia w obawie o los Turcji, nalegała na sułtana, aby coprędzej pogodził się z carem. W tych warunkach Mikołaj mógł podykto-

wać sułtanowi pokój bez żadnej obcej interwencji — sukces, jaki już nigdy nie przypadł Rosji w udziale.

Nieraz pisarze polityczni wyrażali zdziwienie, jak mały wpływ wywarły doświadczenia wojny z Turcją na opinię Europy o potędze rosyjskiej. Rzecz wszakże jest dość zrozumiała i naturalna. Do wojny stosuje się w pełnym sensie przysłowie: koniec wieńczy dzieło, a w danym razie po stronie Rosji było zupełne zwycięstwo. Częściowe klęski i niepowodzenia idą po końcowym sukcesie w zapomnienie i tylko jakiś specjalista wojskowy zanotuje ocenę, odmienną od ogólnego zdania.

Zarzucano też nieraz naszym niepodległościowcom, iż porywali się do powstań w chwilach mniej sprzyjających lub nawet wprost niefortunnych, a pomijali konjunktury odpowiednie. Gdy mowa o powstaniu listopadowym, nasuwa się każdemu wspomnienie wojny z lat 1828—9-go i kłopotów politycznych caratu. Dlaczego podchorążowie nie pośpieszyli się o dwa lata?

Na to mogliby odpowiedzieć niepodległościowcy, że miniona przeszłość już nie do nich należy i że nie oni zmarnowali jej najlepsze momenty. W latach 1828—29, Królestwo Kongresowe miało swój rząd i sejm; stali u steru mężowie, którym do głowy nie przychodziło skorzystać z wojny tureckiej i konjunktury europejskiej i którzy za wielki sukces poczytywali koronację Mikołaja. Ponieważ oni nie zrobili powstania w chwili uznanej post factum za odpowiednią, wiec belwederczycy zostali nieiako zmuszeni do zrobienia go w sytuacji gorszej, aby nie doczekać się takiej, w której akcja zbrojna na miarę wojny z 1831-go roku byłaby już zgoła niemożliwą.

Istniał przecież zamiar użycia na wojnę turecką armji polskiej i niektórzy generałowie rosyjscy nadsuwali carowi myśl włączenia oddziałów polskich do różnych korpusów armji czynnej i rozbicie w ten sposób jej jedności i odrebności. Rzecz nie doszła do skutku, bo wysłaniu armji Królestwa na teatr turecki oparł się w. ks. Konstanty, a car jeszcze wtedy liczył się bardzo ze swym starszym bratem.

Daleko groźniejsza chmura zawisała nad armją Królestwa po rewolucji lincowej we Francji. Miała nastąpić na rzecz restauracji zbrojna interwencja zbrojnego przymierza, a w pierwszej linii miała ruszyć przeciw Francji armja polska. Zagroził jej tedy niesłychany przełom moralny, który musiałby pociągnąć nieobliczalne następstwa dla jej ducha i dla tradycji narodowej, a prócz tego odzyskiwały jeszcze ostrzejszą aktualność zabójcze projekty rozbicia armji Królestwa po oddzielnych obcych korpusach. Czyż można sobie wyobrazić po nowem zwycięstwie św. przymierza powrót armji do kraju i dalszy ciąg parad na placu Saskim? Nie, armja nasza w tej sytuacji skazana była na likwidację w tej czy w innej formie. Nie było już wówczas dla niepodległościowców czasu na wyczekiwanie lepszej sposobności, gdyż ta, jaką im przyniosła noc listopadowa, była już bodaj ostatnią. Za nią już ukazywała się perspektywa pozostania bez zorganizowanej siły zbrojnej.

Rzeczywiście, nie umieliśmy w ciągu ubiegłego stulecia wybierać chwil właściwych, lecz to pochodziło stąd, że w narodzie, w jego kierowniczych kołach brak

było stałej i mocnej myśli powstańczej. Nie ona popychała nas do czynu zbrojnego, lecz okoliczności przygodne, odruchy, nerwy i... bolesne wspomnienia zmarowanych okoliczności. To wszystko przypomina nam obecna setna rocznica.

T. Gruźewski.

MIASTO FASCYNUJĄCE WSZYSTKICH

PARYŻ, w październiku.

W wyobraźni najszerzych mas czytelników miasto Paryż symbolizują dwa pojęcia: wieża Eiffla, którą paryżanie oglądać mogą rzekomo z każdego okna, czy rogu ulicy, oraz *Moulin Rouge*, gdzie ponoć całe miasto codziennie uczestniczy w sabatach fantastycznego wyuzdania. Ponadto w przekonaniu cudzoziemców wszystkie mieszkanki Paryża są kobietami młodeymi i pięknymi, zawsze strojnie ubranymi, a ulegające w szale upojenia każdemu, ktokolwiek na nią rzuci pożądanym spojrzeniem. W pojęciu płci pięknej wreszcie Paryż jest bezapelacyjną, jedyną w świecie wyrocznią w zakresie stroju, od kapelusza aż po nabijane brylantami obcasiki pantofelków balowych.

Przekonania te, urabiają wśród mas powieści, tłumaczone z francuskiego, te zwłaszcza, które się cieszą największym powodzeniem. Urabiają je również filmy, obfitujące w zdjęcia z nocnych przybytków Paryża, a oszalałymi widzów zarówno przepychem, tualet jak i obfitością pięknych kobiet, których jedynym zajęciem jest flirt z panami w świetnie skrojonych frakach, o nieskazitelnie białych gorsach koszul. Urabiają wreszcie to przekonanie i ci, pośród nas, którzy wyrwawszy się na krótko na Zachód, chcą poznać Paryż w czasie dwutygodniowego pobytu. Zazwyczaj zaczynają oni od zwiedzania wielkich i świetnych pomników architektonicznych lub licznych i naprawdę bogatych muzeów; poczem owo zwiedzanie nużyć zaczyna, interesują zaś bardziej czy najbardziej — place Pigalle lub Clichy z ich *cafe-chantant*ami, jak się mówiło przed pół wiekiem czy *music-hall*ami, jak się owe zakłady z angielska dziś nazywają. Na istotne — poznanie miasta ani jego ludności nikt już doprawdy nie ma czasu, utrudnia też rzecz i to także, że cudzoziemca francuz traktuje obojętnie, jeśli nie niechętnie, otwierając dlań szeroko podwoje hoteli i zakładów rozrywkowych, ale zamykając przed nim skrętnie drzwi prywatnego mieszkania.

A przecież miasto samo jest ciekawe doprawdy i poznania warte. Jest przedewszystkiem olbrzymie, trzecie na kuli ziemskiej zarówno z uwagi na liczbę ludności jak i na zajmowaną przestrzeń*), a mimo to łatwo bardzo zorjentować się w tem niezmiernym mo-

*) Pierwszem jest Nowy-Jork w Stanach Zjednoczonych z przedmieściami 9,25 milionów ludności. 3200 km. kwadratów. z czego na właściwe miasto przypada 6,1 milj. ludn. i 774 km. kw. przestrzeni); drugim — Londyn (7,67 milj. ludn., 1,600 km. kw.; właściwe miasto — 4,57 milj. ludn., 303 km. kw.); trzecim wreszcie jest Paryż (z przedmieściami 4,41 milj. 480 km. kw.; czego właściwe miasto posiada 2,9 milj. miesz. i 78 km. kw. przestrzeni) — cyfry z r. 1925.

ru dachów i kominów, jakie się widzi ze szczytu wieży Eiffla czy wzgórze Montmartre. Zadanie ułatwiają wam wielkie bulwary, wyrąbane w spletanym gąszczu domów i uliczek ręką genialnego prefekta departamentu Sekwany, Haussmanna**), jak i cały szereg punktów orientacyjnych, a więc: wyspa śródmieścia — Cité, Łuk Triumfalny, Pałac Inwalidów, Panteon itp.

Nie chcemy wszakże na tem miejscu współzawodniczyć z licznymi przewodnikami po Paryżu. Zadaniem naszym jest scharakteryzowanie w paru słowach życia i mieszkańców tego wielkiego miasta, którego nazwa sama posiada jakieś dziwne własności magnetyczne, często zresztą wysnute z fałszywych przesłanek.

Wbrew bowiem temu, co myślą codziomcy, Paryż jest ogniskiem nie codziennych, mniej lub więcej płochych hulank, ale miastem twardej, nieznużonej, niezmordowanej pracy od przedświtku aż po późne godziny wieczorne. Nie znaczy to, oczywiście, byśmy mieli przeczuci istnieniu owych music-hall'ów, które się jarzącami gwiazdami zapalają o zmierzchu na południowym zboczu Montmartre'u. Istnieją one istotnie, ale istnieją przedewszystkiem i niemal wyłącznie na użytek cudzoziemców, przybywających do Paryża z książeczkami czekowemi, banków, które operacje swe prowadzą w funtach sterlingach, dolarach, argentyńskich peso czy brazylijskich milrejsach. Słynne w świecie „Folies-Bergère“ to dla rdzennego paryżanina szaleństwo przedewszystkiem zadrogie, jak za drogie są dlań wszystkie owe wytworne туаlety, przepyszna biżuterja, niezliczone cacka artystyczne, wabiące oczy i kieszenie cudzoziemców w witrynach sklepowych na wielkich bulwarach od kościoła św. Magdaleny poprzez plac Opery aż po bulwar Poissonnière.

Francuz wogóle, a więc i paryżanin również jest przedewszystkiem człowiekiem pracowitym i bardzo oszczędnym, oddającym się pracy z zapałem i odkładającym grosz do grosza po to, by z czterdziestym czy pięćdziesiątym rokiem życia móc się wycofać z interesów, zaoszczędzony grosz zamienić na rentę i do końca życia zażywać zasłużonego wywczasu w jakiejś cichej podmiejskiej ustroni czy zgoła na wsi. Ta myśl o wypoczynku w wieczornej dobie życia sprawia niewątpliwie, że ogół we Francji pracuje nierównie intensywniej aniżeli my, nie umiających jeszcze doceniać wartości czasu i rozkładający zazwyczaj pracę na „dzisiaj i jutro“, jakgdybyśmy na wykonanie naszego zadania życiowego mieli nie jedno ale dwa lub trzy życia ludzkie.

Przeciętny więc paryżanin pracujący wstaje wczesnie, bo musi. O mieszkanie w centrum miasta, gdzie jest większość biur i sklepów, trudno niezmiernie; mieszkać trzeba na peryferjach, to znaczy wstawać o 6-tej rano, by zdążyć na 8-mą, bo o tej porze otwierają się sklepy i rozpoczyna się praca biurowa. Ta ostatnia bardziej się wymyka obserwacji, gdybyśmy jednak weszli na chwilę do jednego z owych olbrzymich domów towarowych, jak „Galeries Lafayette“, „Au Louvre“ czy „La Samaritaine“, gdzie w pomieszczeniu dziesięciokrotnie większym od naszych B-ci Jabłkowski dokonywa się w ciągu dnia drobnych transakcyj za milion franków — zdumielibyśmy się nie-

**) Ur. 1809 † 1891.

wątpliwie, z jakim nateżeniem nerwów i przytomności umysłu umie pracować owa nieprzeliczona rzesza sprzedawców i sprzedawczyń, darząca każdego z kupujących zawsze uprzejmym uśmiechem, dziękująca z zasady za każde choćby najdrobniejsze kupno i żegnająca każdego wychodzącego uprzejmem „dowidzenia“ choćby nawet po godzinnym przeglądzie nic nie kupił.

Praca trwa od 8-ej zrana do południa, to znaczy do przerwy, wypełnionej drugim śniadaniem, które się równa naszemu obiadowi, a potem znów do 7-ej wieczorem, z takim wyliczeniem, by pracownik nie był zatrudniony dłużej ponad ustawowe 8 godzin przy 6 dniach pracy w tygodniu. Chlebodawcy natomiast ustawa nie krępuje zupełnie, jak nie ogranicza godzin ani dni handlu, dbając jedynie o wypoczynek pracownika, — to też właściciele takich np. „bistro“ t. zn. małych kawiarenek z wyszynkiem win i aperitivów potrafią pracować we dwoje z żoną bez służby od 5-tej rano do 1-ej po północy, znajdując mimo to czas na trącanie się kieliszkiem i zamienienie choćby kilku uprzejmych słów ze stałymi gośćmi.

Ze stałymi gośćmi, bo szczególnie charakterystycznym dla Paryża jest to, że poza olbrzymią rzeszą pracowników, zatrudnionych w wielkich przedsiębiorstwach i przepływających wielkimi falami rano ku centrum i wieczorem ku peryferjach miasta, zasadniczo każdy mieszka i pracuje w swej dzielnicy, nosa poza nią nie wychylając. Paryż jest jakgdyby gromadą miast, szczelnie do siebie przylegających, ale różniących się charakterem i wyglądem; jest więc np. dzielnica cudzoziemskiej plutokracji w okolicach Łuku Triumfalnego, dzielnica arystokracji rodowej od Pałacu Inwalidów do bulwaru St. Germain, słynna dzielnica Łacińska, „Quartier Latin“, gdzie od wieków ma swe siedziska młodzież uniwersytecka; dzielnica handlowa, ciągnąca się od ulicy Rivoli do wielkich bulwarów; dzielnice najuboższe na Belleville i w okolicach placu Italie, a wreszcie szereg dzielnic robotniczych, rozsypanych po całym mieście. Handel i przemysł grupują się również dzielnicami; są dzielnice, gdzie skupia się handel sukniem i gotowemi ubraniami, to znów dzielnice bronzów, pasmanterij, artykułów paryskich, książek, mebli, wyrobów z marmuru, cegielni, garbarni, handlu końmi, składów win i szereg innych, a pośród nich, niby wielki żołądek skupiska ludzkiego w centrum miasta wznoszą się hale centralne Paryża.

Gdzieś od godziny 1-ej po północy wielkimi bulwarami, prowadzącymi od krańców miasta ku jego centrum, po szynach tramwajowych suną pociągi towarowe. Stare, zeszłowieczne lokomotywy plują dymem i sadzą, gwizdzą i sapią, ciągnąc długie łańcuchy wagonów, pełnych poćwiartowanego mięsa, ryb, masła i serów, jarzyn i ogrodowizn. Na wyścigi z niemi śpieszą wozy podmiejskich ogrodników, hodowców drobiu, producentów nabiału — wszelkiego ludu słowem, żyjącego z karmienia bliźnich. W halach zaś czeka tymczasem rzesza ludzka, hurtownicy i tragarze, a wreszcie właściciele sklepów z całego Paryża, przybywający tu przed świtem, by się na cały dzień zaaprowidować; ostatnie przybywają wreszcie oszczędne gospodynie, pragnące nabyć wszystkiego, czego im trzeba do kuchni, taniej, aniżeli w sklepie. Życie więc w halach cen-

tralnych wre od północy niemal aż po wczesne godziny poranne, a jaki panuje tam rozgwar ludzki, turkot wozów, huk rozbijanych skrzyń — żaden opis nie jest w stanie dać o tem pojęcia. Ze zgłębieniem w halach centralnych rywalizować chyba może zgłębienie, jaki się czyni około południa na giełdzie i przed giełdą paryską.

Przy intensywniejszej niżli nasza pracy życie codzienne bardziej jest przytem od naszego uregulowane. Uzewnętrznia się to i w porze posiłków: od godz. 11-ej do 1-ej w południe a potem pomiędzy 6-tą a 8-mą wieczorem cały Paryż, ba, cała Francja je drugie śniadanie czy obiad wieczorny. Byłoby też rzetelną nieprzyzwoitością udać się do kogoś w tych porach w odwiedziny, o ile oczywista nie jest się zaproszonym. W żadnej też restauracji, od najpodrzedniejszej do najbardziej wykwiłtej, nie dostaniemy nic gorącego, o ile nie zechcemy się zastosować ściśle do godzin, przeznaczonych na posiłek; wyjątek stanowią jedynie nocne kawiarnie i restauracje, obliczone znów nie na kieszeń paryżanina lecz cudzoziemca. Przytem, jeśli już mowa o posiłkach, zaznaczamy, że naogół biorąc, w restauracjach paryskich stołować się można stale, bez obawy zatrucia się, a menu najpodrzedniejszej garkuchni, obliczonej na klientelę robotniczą, niezbyt się różni jakością od pierwszorządnej restauracji w okolicach Łuku Triumfalnego. I tu i tam drugie śniadanie składać się musi z przekąski, kawałka mięsa czy ryby, jarzyny, sałaty, sera, owoców i czarnej kawy; na obiad mamy to samo mniej więcej z dodatkiem zupy zamiast przekąsek, a w czasie obu posiłków pija się wino napół z wodą. Różnice pomiędzy pierwszorzędnymi a drugo czy trzeciorzędnymi jadłodajniami polegają głównie na sposobie podania, obfitości wyboru, wreszcie na cenach, których rozpiętość jest nierównie większa, niż u nas: za ten sam bowiem kieliszek białego wina, który w skromnym „bistro“ przy kontuarze kosztuje 75 centymów, w przyzwoitej kawiarni zapłacimy 1 fr. 25, a na wielkich bulwarach 2 fr. 50 — wino zresztą to samo.

To ujednostajnienie posiłku jest niewątpliwie wynikiem mniejszego niżli u nas zróżniczkowania społeczeństwa, w którym zewnętrzne różnice pomiędzy inteligencją pracującą, warstwami kupiecko-rzemieślniczymi a robotniczymi zarysowują się nie tak wyraziście jak u nas. W Paryżu niema przytem lekkiej wzgardy dla tych czy innych zawodów, a może być jedynie wzgarda dla niesumiennej ich wykonywania — ale też poziom umysłowy warstw t. zw. niższych w społeczeństwie nie bywa tak bardzo niski, jak to się zdarza u nas. Naodwrot zasobem wiedzy encyklopedycznej, nasze klasy oświecone zdają się górować, wykazując jednak bodaj czy nie mniejszą specjalizację w obranym zawodzie.

Porównania wszakże zaprowadziły nas zbyt daleko. Przerwijmy je więc by stwierdzić, jeszcze tylko, że po wyczerpanej pracy dnia powszedniego przeciętny paryżanin zasypia około godz. 10-tej, zrzadka jedynie pozwalając sobie na takie rozrywki, jak kino czy teatr. Kładzie się spać wcześniej, wcześniej niż my, naprzekór wszystkim legendom o hulaszczem życiu Paryża.

ST. PORAJ

FRANCUZI O POLSCE

Rosja pociągała zawsze cudzoziemców tajemnicą swych niezmiernych przestrzeni, i odrębnością charakteru i swej orjentalnej psychiki. „Les extrêmes se touchent” powiadają Francuzi; stąd chyba bierze początek urok wywierany przez dawną jeszcze Rosję na demokratyczną Rzeczpospolitą francuską. Po kilku latach wojny i rewolucji ruszyli znów ciekawi Francuzi na Wschód w intencji przyjrzenia się nowemu ustrojowi z bliska i wyciągnięcia z tych oględzin mniej lub więcej lekkomyślnych wniosków.

* * *

Dotychczasowa ignorancja Francuzów o Polsce jest zadziwiająca. Osluchała im się jej nazwa dzięki Piłsudskiemu i ostatnim sporom z Litwą. Nareszcie wiedzą już, że nie stanowi ona części Rosji, ale mają zupełnie mylne wyobrażenie o jej historii, kulturze, położeniu geograficznym, etnografii i granicach.

„Turyści” udający się przez Polskę do Rosji napomykają o niej zazwyczaj w kilku zdaniach jako o niezaludnionej płaszczynie. To też powinszować musimy p. Radcy Ambasady polskiej w Paryżu Władysławowi Neumannowi którego inicjatywie zawdzięczamy wizytę kilkotygodniową p. *André Thérive'a*, cenionego literata francuskiego.

Powróciwszy do Francji ujął p. Thérive swoje wrażenia o Polsce w dziesięciu feljetonach, które się ukazały w *Journal'u*, jednym z najpopularniejszych i najbardziej rozpowszechnionych dzienników francuskich. Spostrzeżenia jego są nieraz trafne, niekiedy humorystyczne; uwagi czasem powierzchowne, ale czyż może być inaczej, gdy kto chce sądzić o kraju z krótkotrwałej *tournee*, nie znając nawet jego języka?

Ton feljetonów przyjazny dla Polski, chwilami nawet za bardzo optymistyczny.

* * *

Zaczął p. Thérive od Gdyni, tego okna polskiego na morze, pochwalił pracę już dokonaną w tak krótkim czasie na ziemi kaszubskiej, wydartej Niemcom, bezwątpienia, zdaniem autora, na wieczne posiadanie; stwierdził dobrobyt wolnego miasta Gdańska i umyślnie, nieraz karykaturalnie zaznaczony germanizm tego starego grodu o monumentalnych basztach i bramach.

Jedno ze spostrzeżeń zasadniczych, które p. Thérive wywiózł z Polski to wrażenie młodości naszego narodu; powiada, że nawet pogrzeby mają u nas dużo „rzeźkości...”; uwaga dość słuszna, ponieważ nasze kondukty żałobne mogą się wydawać prawie wesołe w porównaniu do ponurego ceremonjału pogrzebów francuskich.

Drugą cechą młodości narodu to upodobanie do rzemiosła wojskowego, lubowanie się w armji. P. Thérive nie chce zamilczać tej cechy, uznając zresztą, iż armja polska jest nader przyjemna na oko, (o innych jej cechach nie chce sądzić); zakrój wojskowych przypomina mu armję włoską, cieszy wzrok dziarską elegancją. Obok tej armji w zgrabnych okutych czapkach zastanawia przybyśza francuskiego ilość księży i ich dezynwoltura. Kapelani wojskowi w płaszczach i czapkach oficerskich ich obecność w piwiarniach i restauracjach w otoczeniu cywilów, obrazy święte, nieraz lampka i girlanda w wędliniarniach i mleczarniach, mała Św. Teresa z Lisieux na rogach ulic i w wielu sklepach; krzyże na ścianach nie-

których banków gdzie cały niemal personel jest złożony z żydów...

Francuza, wychowanego w oficjalnej bezwyznaniowości, wśród obywateli często niechrzczonych i zupełnie nieświadomych dogmatów i obrzędów religijnych musi naturalnie uderzać tradycyjną religijność Polski, uświęcona i utrzymana w tej formie, w dużej mierze, przez upór narodowej odrębności, w obliczu ucisku i prześladowań.

P. Thérive podziwia urok kobiet polskich, wspomina o ich politycznym równouprawnieniu, o chmarach wesołych dzieci, których wszędzie pełno, o obchodach i kongresach, które wszystkie zakrawają na nabożeństwa. Rany tak zdawałoby się świeże, zablizniły się, kopulaste cerkwie, pomniki przemocy, zostały zrównane z ziemią i nawet pamięć gwałtów najeźdźcy się zatarła... Nowe życie się krzewi, młode ramiona prężą się w wysiłku nad wydzwignięciem gmachu od samych podstaw, bo zaniedbanej pracy jest ogrom. Polska pragnie pokoju, podkreśla Thérive, by móc dopełnić swej twórczej pracy odbudowy.

Przelotne, nacechowane sympatją wrażenia z Łowicza i barwnego przepychu świątecznego tłumu, zgromadzonego przy kościołach, Zakopanego, Lwowa i Poznania wypełniają kilka następnych feljetonów.

P. Thérive musiał być dobrze i bezstronnie informowany sądząc ze zdania, które sobie wyrobił na temat bolesnej w Polsce sprawy mniejszości narodowych i kwestji litewskiej. Trudne to dla nas samych zagadnienie, tembardziej zawile dla cudzoziemca. Ale optymizm autora w stosunku do Polski przewyższa również i te przeszkody. Wierzy on, że Polska sobie poradzi, a czas i prąd coraz bardziej modernizującego się życia wyrówna sprzeczności i połączy zwaśnionych w imię wspólnego dobra.

Tak samo, powiada Thérive, będzie z żydami, powinni oni wrosnąć w Polskę jak wrośli w inne kraje —, to wymaga jeszcze dzisiaj przymusu, wkrótce nastąpi dobrowolna skłonność... Oby się tak stało jak prorokuje wnikliwy Francuz.

Nasz gość francuski poszedł dalej aż do Wilna i granic Litwy, obejrzał pustki i ruiny na linjach dawnych niemieckich okopów widział i żołnierzy Waldemarasa, rozstawionych i uzbrojonych jak na froncie wojennym. Thérive ubolewa że „złe humory” małego narodu i zacięty upór p. prezydenta Litwy są powodem przerwania wszelkich stosunków pomiędzy dwoma sąsiadującymi państwami europejskimi, powodem tej śmiesznej i śpiącej wojny, a raczej „zbrojnego pokoju” u szczelnie zamkniętych granic, które przecinają normalny bieg życia bratnich ludów.

* * *

W N-rze z dnia 23 Września „Petit Parisien”, najpopularniejszego dziennika paryskiego, ukazał się długi naczelny artykuł, z ilustrowany kilku fotografjami, pióra p. Henri Bérauda, o Marszałku Piłsudskim „byłym powstańcu i dyktatorze z przerwami”.

„Petit Parisien” rozchodzą się w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Prawdziwie szkoda, iż wiele tysięcy Francuzów przeczyta, i po większej części uwierzy, w brednie, które niesumienny dziennikarz wypisał o osobie Marszałka.

P. Béraud przedstawił go pod postacią jakiegoś Rinaldo Rinaldini, uzbrojonego od stóp do głów, otoczonego wartą obroną, wrogami, tajemnicą i cieniem. I tak

dalej, na kilka szpalt wielkiej gazety różne sprzeczne impresje, przetykane fałszywie podanymi datami oraz mylnymi informacjami.

Sądząc po rodzaju tych gazeciarskich bredni, można się domyśleć z czyjego mętnego źródła czerpał p. Béraud swoje informacje. Panu Béraud nie warto było jechać do Polski, jeżeli nie potrafił w niej zobaczyć, to, co najbardziej godne czci i czacunku.

M. Czapska.

ORGANIZACJA BIBLIOTEK PUBLICZNYCH W CZECHOSŁOWACJI

Jednocześnie z organizacją wszystkich dziedzin życia państwowego Czechosłowacja, po odzyskaniu niepodległości, zajęła się z wielką troskliwością rozwiązaniem sprawy oświaty szerokich mas ludności. Będąc społeczeństwem szczerze demokratycznym czecho-słowacy pragnęli dać dostęp do oświaty wszystkim członkom społeczeństwa; dać możliwość kształcenia się nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie przez stworzenie dostępnych instytucji oświatowych, przez krzewienie oświaty i docieranie jej do najgłębszych zakątków wiejskich, umożliwiając samokształcenie. Od zarania swego bytu państwowego Czechosłowacja kładzie niezmiernie duży nacisk na sprawę oświaty pozaszkolnej, na kształcenie dorosłych i młodzieży pracującej. Trzeba zaznaczyć, że praca ta bierze swój początek w końcu 18-go stulecia, kiedy to zaczyna się odrodzenie świadomości narodowej, rozkwit czeskiej literatury i sztuki. Jeszcze przed wojną światową istniał cały szereg instytucji oświatowych, które urządziły odczyty, cykle wykładów, przedstawienia, chóry; prowadziły biblioteki. Stowarzyszenia te, złączone w 1906 r. w Związek Stowarzyszeń (Svez Osvetovy) tworzyły potężną siłę, która przyczyniła się do odrodzenia kulturalnego zarówno jak i gospodarczego kraju.

Chcąc pracę w dziedzinie oświaty pozaszkolnej postawić na racjonalnych podstawach, zaraz po odzyskaniu niepodległego bytu rząd czechosłowacki postanowił uregulować ją ustawowo. Okazało się to możliwe wobec istniejących doświadczeń w tej dziedzinie i dokonanej już pracy. Również ułatwiło zadanie posiadanie przez Czechów sieci szkół powsz. i średnich, które tylko należało ulepszyć i rozbudować.

Już w 1919 roku zostaje uchwalona przez parlament ustawa o kursach wychowania obywatelskiego (kursy občanské vychovy) oraz ustawa o publicznych bibliotekach gminnych. Następuje później wydanie całego szeregu przepisów i instrukcyj dotyczących różnych dziedzin pracy oświatowej, jak przedstawień kinematograficznych, kursów języków obcych, kursów samokształcenia, teatrów ludowych i innych. Opracowuje się szczegółowe przepisy wykonawcze do ustaw o kursach wychowania obywatelskiego i bibliotekach publicznych.

Praca, prowadzona dotychczas przez organizacje społeczne, przechodzi do rąk państwa, które stwarza na całym swoim obszarze powiatowe komitety oświatowe, przekazując znaczną część pracy samorządom terytorjalnym. Nie znaczy to, że inicjatywa społeczna nie jest tutaj należyście wykorzystana. Bynajmniej, do współpracy zostało

wciągnięte całe społeczeństwo i porozumienie z organizacjami społeczno-oświatowymi znacznie pracę ułatwia. Do komitetów bibliotecznych ustanowionych dla każdej biblioteki wchodzi oprócz przedstawicieli samorządu gminnego, przedstawiciele stowarzyszeń oświatowych, mając głos decydujący w sprawach biblioteki.

Państwo i samorządy gminne dają podstawę istnienia bibliotek, samo zaś ich prowadzenie zależy w dużej mierze od inicjatywy społecznej.

Widzimy w tej pracy zupełne docenianie ważności biblioteki publicznej dostępnej dla wszystkich w związku z całością oświaty pozaszkolnej. Biblioteka publiczna została tam pojęta jako podstawa pracy oświatowej; udostępnienie książki jako niezbędny czynnik dla wykształcenia obywateli, rozszerzenia ich horyzontu myślowego oraz oświadczenia obywatelskiego. W dniu 22 lipca 1919 roku zostaje uchwalona przez parlament ustawa o publicznych bibliotekach gminnych. Przy redagowaniu projektu czynnie współpracuje Związek stow. oświatowych (Svez Osvetovy" (przemianowany później na Masarykův lidový ustav). Ustawa ta wzorowana częściowo na ustawach poszczególnych Stanów Zjednoczonych staje się wzorem do naśladowania przez inne kraje Europy. Ciekawym jest szczegół, że jest to pierwsza tego rodzaju ustawa w Europie powojennej, gdyż Belgja otrzymuje ustawę biblioteczną dopiero w 1921 roku, Bułgarja w 1920 r., Danja w 1922 r.

Ustawa biblioteczna nakłada przymus zakładania i utrzymywania bibl. publicznych na samorządy gminne. Słowami ustawy: „W celu uzupełnienia i pogłębienia wykształcenia ogółu ludności — gminy polityczne założą biblioteki publiczne, posiadające lekturę o charakterze naukowym i beletrystycznym, która ma istotną wartość moralną”.

Jest tu przeprowadzona zasada przymusu względem gminy, co bardzo dodatnio odbiło się na rozwoju bibliotek. Że jest to jedynie racjonalne rozwiązanie sprawy służyć może za dowód przykład Belgji, która otrzymała rezultaty znacznie niższe, pozostawiając decyzję o założeniu bibliotek publicznych samorządom gminnym.

Udostępnić książkę każdemu obywatelowi, i to nie tylko przez wywieszenie odpowiedniego napisu na bibliotecę, lecz przez bezpłatność korzystania, przez całodzienne jej otwarcie, przez rozrzućenie sieci bibliotek po wszystkich miastach, wsiach i miasteczkach, a również przez zaopatrywanie tych bibl. w odpowiednią ilość książek — oto co ma za zadanie przeprowadzić ustawa biblioteczna.

Jedynie zaś nałożenie przymusu zakładania bibl. publicznych przez gminy może rozwiązać tę tak ważną sprawę.

Przeprowadzenie organizacji sieci bibliotek publicznych w całym kraju było obliczone na lat 10, lecz już w okresie pierwszych dwu lat, trzy czwarte mieszkańców mogło korzystać z bibl. publicznych.

Ustawa objęła w pierwszych latach swego działania tylko gminy w Czechach, na Morawach i na Śląsku, pozostawiając dla Słowacji i Rusi Podkarpackiej termin późniejszy ze względu na wielkie zapóźnienie w rozwoju kulturalnym tych krajów.

Podziwu godnym jest to szybkie tempo w jakim rozwijała się praca w tym najtrudniejszym okresie, okresie tworzenia metod pracy i całej struktury organizacyjnej. Z ścią amerykańskim rozmachem posuwa się praca na-

przód, przewyciężając wiele braków i trudności. Rezultaty pracy przedstawiają się dziś imponująco; ustawa została wprowadzona w życie w całym swoim zakresie.

Obecnie przeprowadza się pracę nad ulepszeniem organizacji i podniesieniem wartości pracy poszczególnej biblioteki.

W 15 tysiącach gmin w Czechosłowacji istnieje już 14.755 bibliotek, funkcjonujących na zasadzie ustawy. Tylko 5 proc. gmin nie posiada jeszcze bibliotek, zaś jedna biblioteka przypada na 865 obywateli. W porównaniu do liczby ludności z bibliotek gminnych korzysta 7.4 proc. ogółu obywateli, a więc procent bardzo znaczny. Ogółem z bibliotek korzystało w ostatnim roku 867 tysięcy czytelników na liczbę mieszkańców 13 milionów.

Widzimy więc, że biblioteka stała się niezbędną dla

mieszkańców; czyta ogół, czyta masa i biblioteka pełni swoją służbę społeczną budząc i zaspakajając zamiłowanie do czytania. Liczba wypożyczeń dosięga imponującej cyfry 13.476 tysięcy w ciągu ostatniego roku, wskazując na ogrom dokonanej pracy. Nie starcza już księgozbiór liczący około 5 milionów książek; biblioteki skarżą się na brak książek, a napływ czytelników wciąż rośnie. Przy obecnym stanie bibliotek publicznych wypada na 100 obywateli 48 książek; na jednego zaś czytelnika — 18 wypożyczeń rocznie. Ażeby zaspokoić istniejące zapotrzebowanie kupują biblioteki co roku wielką ilość książek, wpływając pokaźnie na rynek księgarski i wydawniczy przez swoje zapotrzebowania.

(D. c. n.).

J. Filipkowska-Szemplińska.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

NA WIECU

Fragmęnt powyższy należy do I-ej części wielkiego cyklu powieściowego J. Kaden-Bandrowskiego p. t. *Czarne skrzydła*. Pierwsza część p. t. *Lenora* (cykl wydany zostaje przez Zakład Nar. Im. Ossolińskich we Lwowie) w tych dniach ukaże się na półkach księgarskich. Część druga p. t. *Serce Słonia* — w przygotowaniu. Całość poświęcona życiu górników polskich Zagłębia Dąbrowskiego.

Spojrzał przed siebie: Witano go ogromnym krzykiem. Ludzie wołali zewsząd, aż z pomiędzy straganów i z wszystkich sąsiednich pagóreczków i z okien małych domostw, kleconych w rozpadlinach gruntu.

Niebo zdawało się chwiać od tych wołań, różowe, nisko nad placem zapuszczone. Jeszcze teraz myślał leader o tym niebie, — że go za dużo, dwa razy za dużo chyba nad ludzką ziemią.

Wyciągnął ręce, po tłumie przeleciała cisza, od krańca do krańca.

Z radością usłyszał pierwsze swoje słowa. Twarde, dźwięczne, spokojne. Zaczynał, — jak zwykle, w wypadkach dość złożonych, — od powojennej sytuacji Europy.

Było to jakby przygotowawczą gimnastyką mówcy, która poprzedzać miała właściwy wyczyn. W gimnastyce tej kryły się chwytły podstępne, obliczone umiejętnie na pożądane reakcje tłumu.

Reakcje te, wedle uznania leadera, wypadły korzystnie. Killkoma okrzykami zmiotł z nad uniesionych ku trybunie głów rozkrwawioną Europę powojenną i szeregiem twardych, prostych zdań wypchnął naprzód sprawę strejku.

Tu się zaczęło: Pierwszych kilka nieśmiałych głosów. Kilka słów spłoszonych, oderwanych, bezczelnych. A potem całe zdania, coraz śmielsze... Cała więz gwałtownych okrzyków.

Potem już stałe miejsca w ciżbie, wciąż wrzaskiem tryskające.

Do tych miejsc, głośnych dopadali z pałami bezrobotni. Wiązał się tam odrazu wydepty toboł ramion, głów i rąk, ślizgało głuche szamotanie.

Leader mówił dalej. Dalej, dalej i dalej, bezlitośnie piętnując warcholstwo i brak dyscypliny.

Ale oto, jakby pod jednolitym zlepem tłumu ciemny ogień przeleciał. Tu i tam wzdymała się powierzchnia, tryskały w górę ręce, kije, szarfy.

Leader szukał w tem kotłowisku chociażby kilku najwybitniejszych twarzy.

Nie mógł ich już odnaleźć. Tylko nad brukowiskiem krągłych czapek robotniczych skupiały się gdzieś głowy młodych robotników. Niby kupka równych, krągłych kamieni.

Kupy owe rozbijał gromkim słowem, racją partji, drożyną, ze strejku wynikłą.

Wielki stentor leadera nie mógł już dalej nieść, jak po granicę cienia czarnych ścian stalowni. Pan Mieniewski zdawał sobie z tego sprawę.

Mimo to, mówił dalej! Przedewszystkiem zaś powiększał znacznie gesty. Na jedną chwilę nie ustawać, — biło mu w piersiach wielkim głosem stare doświadczenie, — cała misja sprowadza się do kilku trafnych gestów...

Jak czarny, wielki ptak, w czerwonej klatce, raz wraz wznosił się w górę i opadał.

Nie ustawać!

Grupa skupionych głów rozprysła się i nagle, po nad gestwą pięści wykwitł czerwony sztandar komunistów.

Uszu leadera doleciał piskliwy głos sekretarza Kozy:

— Towarzysze Akcji doraźnej, zmacajcieno to kijem!

Kilkunastu pół nagich wyrostków, w koszulkach pływackich, niby gromada błaznów w brudne pasiaste prążki, poskoczyło mimo trybuny naprzód. Rozległ się mlaskot bitego głośno ciała, skowyt szarpanych twarzy.

Leaderowi zaschło w gardle. Miał pełne usta argumentów, — terror czerwony, — nędza, — tyfus, — Trzecia Międzynarodówka, — prowokacja.

Mówił, wrzeszczał, wrzeszczał wszystko głośno, w obliczu tej potwornej komedji robotniczego losu, tej nędzy, tej ślepoty: Którzy mieli jeszcze pracę i którzy już nie mieli, nędzni i nędzniejsi, jeszcze żywi, a tamci już straceni przerzucali się temsamem hasłem nienawistnie, na te same sztandary pluli, — uwolnić więźniów politycznych, — za kratami prowokacja, — podłe pacholki kapitału, — do Rosji, precz do Rosji!...

Leader drżał, przedarty niejako do dna świadomości.

Tajemna rutyna ukochania tych spraw, ludzi i okrzyków kazała mu nie ustawać w gestach, wciąż nowe wynajdywać. Czynił je proste, tanie, wspaniałe, zlany potem, a w głębi duszy chichoczący obrzydłym niesmakiem, porażony bezradną pogardą, z zamkniętymi powiekami, pięjący wielkie słowa. Z zamkniętymi oczyma czekający, że się to skończy wreszcie.

Ciskali kamieniami.

Może zabiją. Ktoś wreszcie strzeli! Niech zabijają.

Od jednej i od drugiej strony, w łomocie kijów, w dzikim, oplutym śpiewie darł się głos rozwścieczonej nędzy.

Wyrzucali sobie wzajem wszystko, więźniów politycznych, kraty, zdradę, prowokację, węgiel, czas pracy, zdobycze i kradziony materiał wybuchowy, karbid, fleki, — jedni drugim, bezrobotni szmelcerzom, walcownicy, hakarze z oczyma zbielełymi od ognia, górnicy tłukący przed się rękami jak młotem; suszeni w strasznych żarach rozlewacze żelaza, żywe, twarde szkielety z cynkowni; od prażalników i muflarzy i stroiciele materji; ładowacze, spychacze, zapinacze, karowacze o plecach wypukłych, jak skiby, głodne dziwki z sortowni, ze zwału, z odkrywki, z płuczek, głuche od trzasku węgla, cieśle i murowacze i przesierni woźnice i zamulacze, wszystkie fuchy zamulki, obrzękłe wodą ludzkie glizdy kopalniane, ramiarze, rurarze i palacze, pełni kaszlącego rozpuku, sygnaliści z podszybia i nadszybia, jeden słuch, jeden duch, ręce śliskie, jak bigle, twardzi ludzie od stosa — cała pomoc, umowa, pańska dniówka, czas zjazdu i wyjazdu i czas pracy, wszystkie akcje, zdobycze, wszystka, wszystka powierzchnia i dół!

I cały dół tutejszej pracy!

Przez plac pruły się wrzaski, jakgdyby olbrzymiego drapieźnika żywcem na części darto.

Leader krzychał. Kopnął posła Drażka, który chciał wzywać policji. I znów krzychał. Rwał czerwona bibułę garściami z parapetów trybuny, ciskał strzępy przed siebie i oślepiiony żarem, łkający najtajniejszymi łzami, zgryzłem samym, płaczący smołą ostatniej rozpacz, — wzywał ludzi ku sobie.

Spostrzegli go nareszcie. Kilku, — kilkudziesięciu. Wskazali go oburącz, pięściami, niby hasło, tablicę, godło nienawistne.

Tłum wrzasnął srogim podziwieniem. W bójce, tumulcie, tratując się wzajemnie runęli ku trybunie.

Leciał przed nimi kurz, mdła spiekota oddechów. Kurz, przesycony wrzaskiem.

Pierwsze wyblysły wokół trybuny twarze kobiet. Krzyzące przeraźliwie, rozedrgane o żrenicach rozlanych, zasnutych szklivem łez.

Za nimi ciemne gęby górników, z jamą czarnego krzyku w sionych ustach.

Leader uchwycił pierwsze wyciągnięte dłonie, przyciągnął najbliższej i pchając w nie pomięte strzępy czerwonej bibułki wrzeszczał:

— Smarujcie ręce krwią! Gdzie macie, — matki, noże na swoje dzieci?! Gdzie macie noże?!!

Łapał, chwycił, porywał spocone dłonie, przeguby, palce, wtykał czerwony papier, wciskał, smarował tym papierem po drgających ramionach, przez piersi.

Kobiety jednym tchnieniem, jednym piskliwym zgrzytem kładły mu do uszu wszystko, — wszystko naraz: Dzieci po rynsztokach, wszelki brak mleka, redukcję, chleb tak drogi, — do trzech lat karmią małe piersią, bo na chleb nie mają, — mieszkania, od chlewow świńskich gorsze i korce węgla, — wstrzymane przez dyrekcję korce!

Korce, — kartofle, — korce!!!

Usta świstały, jak proce, — z oczu łyż sznurem szklanych pestek, — za równymi zębami czarny żar, bity głośno językiem.

Gdzie macie, matki, noże?! — biadał leader, gładząc głowy, naoslep przebiegając — gdzie macie noże na swoje biedne dzieci?!

Zaniosły się ogromnym jękiem. Przejęte rozpaczą, zasmucone przylegać jęły do skopanej trybuny, opadać, cichnąć.

Wrzask wsiąkał zwolna w tłum. Jeszcze tu i tam podrywały się pięście, wzmagal się głos, jeszcze burza latała po placu, lecz coraz słabszym nawrotem. Na skrajach ciżby złościły się wyrwy i jamy w ściśniętej rzeszy. Ludzie cichli. Płakali rzewnie, olśnieni straszliwym pięknem swej niedoli.

Tylko on, leader, w niewyjawionym, beznadziejnym uśmiechu łzami tryskający, on, na którego obliczu losy partji malują się od a do zet, u stóp którego niedoszły morderca szlocha teraz może, — uczył raz jeszcze, iż doznaje najprzewrotniejszej na tym świecie rozkoszy, — hasła!

Przerażony tragiczną sprawnością zawołania, jął mówić szarzącym w mroku piętnom twarzy ludzkich — o czym innym. O rzeczach — wyższych. O świetle — i ciemności. O wiedzy — i niewiedzy. Rozsypce — i budowie.

O budowie, której niesposób wydzwignąć w ciemności.

Myśl aż śliska, tak jasna, zawsze w dziejach spóźniona, prosta, jak ostateczność, nigdy przez ludzi nieznaną...

Juljusz Kaden-Bandrowski

ŚWIT

*Gdy twardy świt się otrze szorstko o moją głowę
I sen gnuśny, garbaty nieskończoność przebodzie
Wtedy trafi niestrzeżwie mój wzrok mętny i płowy
Na białą umywalnię przy pękniętej komodzie.*

*Na wąskiej płaskiej czaszce pochmurnie ona trzyma
Cierpkiego mydła owoc, jak mąższ gruszki zielony,
Gdzie się ślisko pieni gęsta, zmgławiona ślina
Niby w pędzlu golarskim onegdaj namydlonym.*

*Widzę też włosy szczotek płynących w porcelanie,
Soczyście szklącą szklankę, postawioną na czele,
Oraz nieżywą wodę w krępych uchatym dzbanie
I okrągłą miednicę — pustą w każdą niedzielę.*

*Trupio bladzi wisielce — ręczniki frendzlowane
Z cierpiennemi zmarszczkami — niemą bielą zastygły,
A ja niby topielec na łożu w lustrze tonę
Jakbym wypłynąć nie mógł z pod swej koldry już nigdy.*

WIECZÓR

*Wicher wypłuwą na ziemię
bukowe serca umarłe,
Cienie rzucają na domy
chmur ciężkich płachty czarne..*

*Łzawią szyby schorzałe
w nagiej ramie okiennej
I patrzą w cichy pokój,
w powietrze dymne i ciemne...*

*Sufit płaski przyciska
skrzywionych mebli gnaty,
Spięta, zgnębiona szafa
wywiesiła krawaty.*

*Na jednym, dużym haku
powiązały swe dusze —
Zimne, gumowe palto —
z wygiętym kapeluszem.*

*Srebrne powieki przymknęły
obydwa szczere lustra...
Zasnął w nich cały pokój
ze słowem: Boże! — na ustach.*

Bronisław Zimnarwoda (Gdańsk).

NA MARGINESIE

Nad czem pracują? Zygmunt Kisielewski pisze powieść mistyczną p. t. Docent, Zdzisław Kleszczyński powieść współczesną p. t. Wyjący Kardan, Janina Brzostowska (z grupy Czartaka) wydaje tom poezyj p. t. Najpiękniejsza z Przygód, Edward Kozikowski wykonał tom poezyj p. t. „W towarzystwie wierzby”, oraz pracuje nad powieścią z życia arjan polskich, Emil Zegadłowicz po tomach poezji Widma, Wskazówek i Flora, Caritas, Sophia, wydaje trzeci tom powieści autobiograficznej p. t. O Mikołaju Srebrmpisanym, Tadeusz Szantrach pracuje nad tomem wierszy, Zofja Kossak-Szczucka wydaje powieść historyczną z XVI wieku p. t. Złota Wolność, Witod Hulewicz ukończył przekład powieści T. Manna Królewska Wysokość i wydaje u Chomińskiego w Wilnie tom wierszy p. t. Miasto pod chmurami, Halina Zawadzka wydaje w Wilnie (nakł. Latoura) wiersze dla dzieci p. t. O dwunastu

braciszkach, Jerzy Remer przygotowuje „Style Wileńskie” oraz większą rozprawę o Syntetycznej Inwentaryzacji zabytków Sztuki, Marja J. Wielopolska staje na czele dwutygodnika Kino-Teatr. (Red. Kino-Teatru drukuje chyba niepotrzebnie p. T. Lusztiga na pierwszym miejscu?!).

* * *

Dyrekcja teatrów miejskich uznała oddawna, że należą się zniżki członkom Stowarzyszenia Tow. Dziennikarzy i Literatów, oraz członkom Syndykatu dziennikarskiego, natomiast podobno sprawę zniżek dla pisarzy polskich zrzeszonych w Związku Zawodowym Literatów Polskich — dopiero rozważa. Rozważania te mają chyba charakter wyłącznie administracyjny. Nie możemy sobie wyobrazić dyrekcji teatrów, która rozumie konieczność zniżek dziennikarskich, a zastanawia się nad zniżkami dla pisarzy. Rzecz oczywista, — dziennikarze mogą odwzajemnić się zawsze dyrekcji cennymi swymi wzmiankami. Czyż jednak frekwencja tak upośledzonych materialnie pisarzy naszych, literatów nie przedstawia dla dyrekcji i dla sprawy teatru żadnego znaczenia?

Dziennikarz może napisać wzmiankę, to prawda, pisarz jednak stworzyć może sztukę. Czy nie należy, wobec powyższego, — oddać wzmiance co należy się wzmiance, sztuce zaś, co należy sztuce?

* * *

Tow. Wydawnicze w Warszawie, p. Mortkowicza ma niebawem przystąpić do wydawania własnego pisma literackiego, czy też literacko-krytycznego. Inicjatywa ze wszech miar chwalebna, na naszym tle pracy wydawców, godna uwagi. Jak wiadomo, prócz Tygodnika Ilustrowanego, związanego blisko z domem Gebethnera i Wolffa wydawcy nasi na tle prasy wydawniczej, mającej charakter informacyjno-reklamowy zalegają pola całkowicie. Nie zdobyli się dotąd na organ propagujący interesy książki a równocześnie podniesiony do jakiego takiego poziomu literackiego i typograficznego.

* * *

Stefan Papée wydał w Poznaniu u Fiszera i Majewskiego studjum o Bernardzie Chrzanowskim, znany chlubnie działacz wiekopolskim, świetnym obrońcy sądowym przed trybunałami pruskiemi, kuratorze okręgu szkolnego i zasłużonym pisarzu.

Szkic Papée'go wydany został w chwili opuszczenia przez Chrzanowskiego stanowiska kuratora okręgu szkolnego poznańskiego. Wyjątkowe zasługi Kuratora jako wychowawcy i pisarza skreślił Papée potocznie a jednak bez przesady. Dla pisarzy naszych najciekawszym będzie ustęp w którym Papée opowiada o wielkiej propagandzie rozwiniętej przez Chrzanowskiego dla wybrzeża polskiego wśród najwybitniejszych twórców polskich (Sienkiewicz, Konopnicka) zakończoną wspaniałym wynikiem w postaci Wiatru od Morza Żeromskiego.

* * *

Sprawozdania z bankietu wydanego w Warszawie przez PEN-Klub na cześć znakomitego pisarza żydowskiego Szaloma Asza pomieściła cała prasa żydowska wychodząca w Ameryce w języku żydowskim jak też i angielskim. Z racji serdecznej wymiany myśli pomiędzy polskimi a żydowskimi pisarzami amerykańska prasa żydowska zamieszcza liczne artykuły o literaturze polskiej.

* * *

Horen-Verlag, wielki dom wydawniczy berliński zakończył już pertraktacje z zasłużonym znawcą i tłumaczem literatury polskiej na niemieckie Doktorem Guttry w sprawie wydania cyklu tomów prozy i poezji polskiej po niemiecku. Cykl ów będzie nosił łączny tytuł *Die Polnische Litteratur der Gegenwart* (polska Literatura współczesna) ukażą się zaś w tym cyklu między innymi dzieła K. P. Tetmajera, Wierzyńskiego, Goetla, Kadena-Bandrowskiego, Nałkowskiej i t. d.

* * *

Zasłużony badacz i propagator literatury polskiej w Jugosławii prof. Juljusz Benesic wydał ostatnio w Zagrzebiu w pięknej szacie zewnętrznej poemat Słowackiego W Szwajcarii (U Svicarskoj) z podobizną wieszczą na pierwszej stronie oraz własnym wstępem. Tytuł poematu na okładce brzmi: Juljusz Słowacki U Svicarskoj, preveo Julije Benesic, Zagrzeb MCMXXVIII, Tisak, Zaklade Tiskare Narodnih Novina U Zagrebu.

P. Juljusz Benesic jest w Zagrzebiu redaktorem pisma literackiego p. t. Književnik (pomieścił w sierpniu piękny artykuł o literaturze polskiej). Uskarża się na brak łączności z literaturą polską i polskimi pisarzami. Wobec powyższego pozwalamy sobie załączyć adres prof. Benesic'a w Zagrzebiu: SHS, Zagreb, ul. Mosinskoga 34.

* * *

jkb.

NOWOŚCI FRANCUSKIE

„*Consultation*”, „*Sorellina*”, *Roger Martin du Gard*,
wyd. N. R. T.

Po długiej przerwie ukazały się w tym roku dwa dalsze tomy (IV i V) powieści *Roger Martin du Gard'a* „*Les Thibault*” pod tytułem *Consultation* i *Sorellina*.

Krytyka francuska przyjęła je bardzo przychylnie, *Maurois* i *Thibaudet* między innymi piszą o tych książkach z największym uznaniem.

Thibaudet słusznie zauważa, że powieść ta będzie w przyszłości cennym dokumentem dla każdego, kto zechce sobie zdać sprawę z rozkładu rodziny we Francji za czasów III Republiki.

„*Les Thibault*” to historia jednej rodziny, osi powieści jest walka syna *Jacques'a* wrażliwego i szlachetnego z katolikiem — ojcem despotą i hipokrytą.

Walka ta doprowadza syna do ucieczki. Starszy brat *Jacques'a* *Antoni* lekarz jest łącznikiem pomiędzy ojcem a synem.

Tom czwarty *Consultation* — to dzień lekarza, widzimy *Antoniego* przy pracy, tom piąty *Sorellina* zawiera opis ciężkiej choroby ojca, wykrycie przez *Antoniego* tropu zaginionego *Jacques'a* i odnalezienie go w Szwajcarii.

Trudno mówić o tych książkach nie zawiadziwszy o *Gide'a*, są one bowiem wyraźnie w orbicie wpływów tego pisarza. Zaznaczmy, że *Gide* i *Roger Martin du Gard*, są związani przyjaźnią osobistą, że *Journal des Faux Monnayeurs* poświęcił *Gide* autorowi *Les Thibault*. I właśnie z *Faux Monnayeurs* ma powieść *Du Gard'a* wiele punktów stycznych. Ta sama nieubłagana analiza hipokryzji, ten sam jeżeli nie negatywny to przynajmniej niechętny stosunek do rodziny jako takiej, którą

Gide gdzieś nazwał *Le Regime Cellulaire*. Nawet typy niektóre w obu powieściach są sobie pokrewne (naprz. stary *Thibault* i *Profitendieu*). Walka ojców i dzieci (tu i tam ucieczka syna) tocząca się w podobnym środowisku i podobnych warunkach stwarza nadzwyczaj podobną atmosferę obu powieści.

Stosunek do formy obu pisarzy jest jeszcze jednym punktem stycznym pomiędzy nimi. Obaj należą do kierunku, który zgruba nazywany „reakcją klasyczną”, stoją poza wszelkim modernizmem starają się pisać stylem możliwie rzeczowym pozbawionym wszelkiej barokowości. Jeżeli czytając *Gide'a* myślimy często o stylu *Stendhal'a* czy *Flaubert'a* — *Martin du Gard* mimowoli nasuwa wspomnienie *Tołstoja* *), który chyba bezpośrednio musiał na tego pisarza wpłynąć. Uderza to najsilniej przy czytaniu pierwszej części *Sorelliny*.

Zestawiając *Gide'a* z *Martin du Gard'em* nie myślę ich równać pod względem miary. *Gide* jest indywidualnością o wiele bardziej złożoną i ważką, chodzi mi tylko o przynależności obu do jednej „szkoły”.

Z dwóch tomów „*Thibault*”, które się w tym roku ukazały „*Consultation*” opisująca dzień *Antoniego* jest najlepszą. Przesuwają się jak w kalejdoskopie ludzie z poczekalni lekarskiej, widzimy odwrotną stronę medalu — ich życia.

W świetle lampy lekarskiej kurczą się, maleją szanowne osobistości albo nagle urastają do prawdziwej wielkości. Może jedną z najlepszych jest drastyczna scena, w której widzimy polityka między obiadem u ministra, leczącego u *Antoniego* przed wszystkimi skrywaną chorobę, a przyjęciem jakiejś królowej.

Ten pełen napuszonego dostojeństwa pan w surducie zamienia się w tchórzliwego drżącego ze wstydu i jęczącego z bólu pacjenta. Świetna jest również rozmowa starego profesora, ojca chorego umysłowo jednaka z *Antonim*. Stary człowiek wypowiada przed lekarzem tragiczną spowiedź swego życia, mówi o tyle już lat go dławiących wyrzutach sumienia, że on właśnie jest bezpośrednim powodem choroby swego dziecka. Jednym stanowczym ruchem ręki, kategorycznym zapewnieniem, że ten wyrzut sumienia jest bezpodstawny, że choroba dziecka w tym wypadku nie może być skutkiem win kawalerskich ojca — *Antoni* zdejmuje ze starego człowieka straszliwy ciężar, przynosi mu niewysłowioną ulgę.

I czytelnik czuje wraz z samym *Antonim* jak piękny i jak wielki jest zawód lekarza.

Tom ostatni „*Sorellina*” jest mniej jednolity. Pierwsza część — choroba starca jest napisana świetnie. Nieubłagane oko autora demaskuje hipokryzję, zakłamanie starca stojącego już jedną nogą w grobie, jego ubłudną religijność. Prawda obserwacji tych stron przypomina śmierć *Iwana Iljicza Tołstoja*. Część środkowa książki jest najsłabsza, poszukiwanie zaginionego — postać dosyć sztuczna dawnego profesora *Jacques'a*, powieść napisana przez *Jacques'a* rzucająca pośrednio światło na jego stany duchowe i pobudki ucieczki z domu.

Koniec powieści jest o wiele lepszy. Występuje na scenę odnaleziony w Szwajcarii przez brata *Antoniego*

*) *Tołstoj* zachwycał się *Stendhalem*: mówił, że nie potrafiłby napisać *Anny Kareniny*, gdyby nie znał *Chartreuse de Parme*.

Jacques. O ile Antoni lekarz jest postacią poprawnie „fotograficznie” ujętą i pomimo wszystko martwą, Jacques główny bohater tego cyklu tomów jest najciekawiej i najżywiej zarysowany.

Reakcja wrażliwego dziecka i młodzieńca na wrogą całej jego naturze atmosferę domu była opisana w tomach poprzednich. Teraz widzimy go od 3 lat wolnego tworzącego samemu swoje życie, zamieszanego w jakąś konspiracyjną robotę polityczną zarabiającego własną pracą na życie.

W domu odetchnął pełną piersią dopiero od chwili gdy się poczuł niezależnym, że na obczyźnie w najgorszej nędzy był jeszcze stokrotnie szczęśliwszy, niż u zastawionego stołu rodzicielskiego.

Kończy się książka powrotem obu braci do Paryża, przysły już zapowiadany tom pokaże nam Jacques'a u łóża umierającego ojca i śmierć tego ostatniego.

Cykl tomów „Les Thibault”, jest jednym z wielu dowodów żywotności i aktualności powieści psychologicznej.

Wojny i rewolucje ostatnich czasów wytworzyły tak niezliczone przesunięcia, takie bogactwo nowych typów i kierunków, że chyba od czasów Balsac'a nie było w Europie atmosfery bardziej korzystnej dla napisania nowej „komedji ludzkiej”.

J. C.

POLONIKI SŁOWIAŃSKIE

Sztuka czeska na scenie polskiej.

Na konieczność wprowadzenia na sceny czeskie całego szeregu utworów polskich, począwszy od Fr. Zbłockiego „Firycy w zalotach” i kończąc na dramatach K. H. Rostworowskiego, wskazywał już w tym roku w obszernym artykule w dodatku literackim „Il. Kurjera Krakowskiego” prof. M. Szykowski. Przy tej okazji stwierdzić należy, że sztuka dramatyczna czeska od dawna w Polsce doznawała gościnnej przyjęcia.

Unaocznia to bardzo dokładnie prof. B. Vydra w szkicu historyczno-literackim p. t. „Ceske drama Polsku”, wydawanym jako odbitka z „Casopisu pro moderni filologii”. Wpływy religijnego dramatu czeskiego na polskie misterja dają się ustalić w w. XII. Tragedja „Monika” J. J. Kolara w przekładzie Jana Nepomucena Kamińskiego ujrzała światło ramпы lwowskiej w r. 1851. Najwięcej zasług dokoła zaznajomienia Polski z twórczością dramatyczną Vrchlickiego przypisać należy B. Grabowskiemu i Z. Przesmyckiemu. Wielkie ożywienie w przyswajaniu polskiej scenie i literaturze sztuk czeskich nastąpiło po wojnie, kiedy publiczność stołeczna zwłaszcza zapoznała się z utworami Czapka, Langra, Jiraska, Scheinpfluga.

B. Vydra przytacza w tej pracy szereg ocen recenzyjnych współczesnych, skrzętnie wyszukanych w rocznikach najrozmaitszych pism polskich, i kończy szkic ten zestawieniem poglądów na literaturę dramatyczną czeską, wypowiedzianych przez polskich znawców literatur słowiańskich z Adamem Mickiewiczem na czele.

Rzecz opracowana na wysokim poziomie naukowym, nie bacząc na niewielką objętość, ukazuje się bardzo na czasie, ze względu na niedające się zaprzeczyć z każdym rokiem wzmożenie polsko - czeskich stosunków wzajemnych na polu teatralnym.

Lingwistyka rosyjska a polska.

Z okazji 70-lecia urodzin, znakomitego filologa słowiańskiego, Rosjanina A. Sobolewskiego, wydany został przez Akademię Nauk rosyjską obszerny tom zbiorowy prac uczniów jego i wielbicieli. Nadeszła do tej książki zbiorowej przyczynki z dziedziny lingwistyki słowiańskiej, pisane i wydrukowane po polsku, uczeni nasi prof. T. Lehr. Spławiński, J. Janów, J. Łoś, K. Nipeh, W. Porzeziński, J. M. Rozwadowski, S. Szober i in.

Miłą dla nas niespodzianką w tej księdze stanowi praca rosyjska Eugenjusza Rychlika p. t. „Opera Kiszki Zgerskiego”, „Złota wolność, czyli Aleksander I”.

Wincenty z Ciechanówca Kiszka Zgierski, poeta drugorzędny na początku ubiegłego wieku, znał dobrze literaturę rosyjską, tłumaczył Sumarokowa, Dzierżawina, i w operze powyższej, idącej za pewnym prądem ówczesnej opinii polskiej, przychylniej dla cesarza rosyjskiego, traktuje pochlebnie Aleksandra I, jako „powróciela swobód i ojca ludów”, z dużym nakładem „optycznych transparentów”.

Dając szczegółową analizę literacką utworu, który zresztą sceny nigdy nie ujrzał, słusznie podkreśla E. Rychlik, powołując się na Mochnackiego, że stosunek Polaków do Aleksandra, nawet przed r. 1820 nie polegał wyłącznie na admirowaniu bezwzględnej despoty wschodniego za zwycięstwo nad „tyranem powszechnym” t. j. Napoleonem.

Niemiecka książka o Polsce w ocenie słowiańskiej.

Na łamach poważnego miesięcznika, ukazującego się w Białogrodzie, p. t. „Misao” prof. F. Ilesic omawia „trzy książki o Polsce”, dwie czeskie V. Dreslera i jedną niemiecką J. Guttzeita, ostatnia, zatytułowana „Geschichte der deutschen Polen-Entrechtung”, jest wyrazem poglądów radykalnej opinii niemieckiej, nie mającej za sobą dotąd szerszego w Niemczech poparcia, bo nie zaślepionej szowinizmem, na istotę krzywd, bezprawi, gwałtów, uprawionych post-factum, na co wskazuje wyraz dosadny „Entrechtung”, popełnionych w ciągu szeregu wieków przez Prusaków na organizmie polskim. Wydana w Gdańsku, praca J. Guttzeita jaskrawo odbija od nacjonalistycznego tła ogólnego literatury niemieckiej, gdy chodzi o Polskę.

tgl.

„WIRYNEJA — LIDJI SEJFULLINY*)

Wiryneja zdrowa i piękna dziewczyna ucieka z domu wuja, bogatego chłopca, by żyć „na wiarę” z młodym parobkiem, Waską. Po trzyletnim pobycie w mieście, wraca Wiryneja z chorym na suchoty kochankiem na wieś do jego matki Mokeichy. Lecz wrocie i pogardliwe odnośnienie się niedoszłej świerki oraz słabość kochanka dokuczyły Wiryneji. Opuszcza tedy nieprzyjazny sobie dom i zrywa stosunek miłosny z Waską. Najmuje się do pracy na wsi,

*) Lidja Sejfullina: „Wiryneja”. Przekład Marji Grabowskiej. Warszawa 1928. Towarzystwo wydawnicze „R6j”.

później pracuje przy budowie drogi żelaznej. To początek powieści.

Budowa kolei i wojna to dwa czynniki, które rozprzegają pierwotne, zwarte życie mieszkańców Akgyrki, zapadłej wsi rosyjskiej, gdzie toczy się akcja. Wojna zabrała ze wsi zdrowych mężczyzn, budowa zaś kolei sprowadziła inżynierów i urzędników z ich miejskim zepsuciem i zgniłą cywilizacją. Dzieje Wiryneji i dzieje wsi to dwa wątki powieści Sejfulliny uzupełniające się nawzajem. Sejfullina bez tkliwości żadnej, bez kolorowych podmalunków, oddaje stylem realistycznym, chropawym lecz związłym i mocnym życie chłopów rosyjskich na przełomie wojny i rewolucji.

Na pierwszy plan powieści wybija się niby kwiat czerwony a bujny mocna postać Wiryneji. Piękna to postać, niezwykajna w powieści. Natura kobieca, tryskająca zdrowiem i namiętnością, o głębokiej samorodnej moralności i twardej, męskiej woli. Zdrowy typ idącej, współczesnej kobiety, chłopczycy w najlepszym tego słowa znaczeniu. W poczuciu godności osobistej, w umiłowaniu swobody, niezależności i prawdy walczy Wiryneja z przemożnym kanonem fałszywej chłopsko - mieszczańskiej moralności. Niepodległa nawet w chwilach upadku, wolna od zakłamania i taniego sentymentalizmu osiąga wreszcie po długich i ciężkich zmaganiach z życiem miłość mocną i czystą.

Bohaterskim i dzielnym typem kobiety jest Wiryneja a prztem postacją żywą i realną. Ginie śmiercią tragiczną, zaś powodem tej śmierci jest miłość Wiryneji do nowo narodzonego dziecka. Postać Wiryneji można uważać za zupełny triumf Sejfulliny zarówno pod względem artystycznym jak i ideowym. Można śmiało powiedzieć, że stwarzając postać Wiryneji rozwiązała Sejfullina problemat kobiety współczesnej.

Tłem powieści jest życie zapadłej wsi rosyjskiej, życie pierwotne, szare od ciemnoty i przesądów, twarde i ciężkie w walce z ziemią. Do psychiki chłopu rosyjskiego a nawet do rdzenia psychiki rosyjskiej w ogólności dotarła Sejfullina, zwłaszcza w przedstawieniu chłopu Magary, świętego starca, postaci tak charakterystycznej dla stosunków wsi rosyjskiej. Ów Magara pędzący przez kilka lat pustelnicze życie, rozgniewał (!) się na Boga, że nie zesłał mu przyobiecanej na określony termin śmierci i naraził go na pośmiewisko swojáków. Z pośrednika między Bogiem, a mieszkańcami Akgyrki, przedzierzga się nagle Magara w bezbożnika, rozpustnika i mordercę. W doskonałej scenie, gdy Magara wobec zebranego „narodu” daremnie oczekuje na śmierć, i w nagłej przemianie jaka się w duszy sześćdziesięcioletniego starca dokonywuje, wydobyla Sejfullina pierwiastki cynizmu, tkwiącego w duszy rosyjskiej.

Z punktu widzenia kompozycji powieści historia z Magarą nie jest tak organicznie z głównym wątkiem „Wiryneji” zespolona, aby wydawała się konieczną. Możliwy ten wątek epizodyczny z powodzeniem wykroić jako niezależną, doskonałą zresztą, nowelę. Oparwszy akcję „Wiryneji” o moment historyczny i przełomowy, mogła autorka „Mierzwy” stworzyć ze swej powieści pierwszorzędną epopeję

chłopską. Niestety pomimo całej plastyki stylu i realizmu nie przedstawiła w całej możliwej rozpiętości chłopskiego życia. Zresztą nie leżało to może w zamierzeniu autorki. Jeżeli jednak „Wiryneja” nie jest epopeją w pełnym tego słowa znaczeniu, to w każdym razie w ostatecznej swej formie może być uważaną jako epopei chłopskiej doskonały zarys.

M. J. Toporowski

NAD KSIĄŻKĄ

Michał Sobeski: „Z pogranicza sztuki i filozofji” — Fiszer i Majewski. Poznań. 1928.

Prof. Michał Sobeski, autor znanej „Filozofji sztuki” jest jednym z niewielu naszych uczonych humanistów, którego zainteresowania nie ograniczają się do jednej historycznie zamkniętej epoki, bądź też do jednego specjalnego zagadnienia. Prof. Sobeski poza teoretycznymi zagadnieniami z zakresu estetyki zajmuje się bardzo żywo wszystkimi rodzajami sztuki, nie wyłączając literatury, uwzględniając przytem zarówno przeszłość, jak i najbardziej żywą terażniejszość.

Ostatnia książka prof. Sobeskiego jest zbiorem artykułów i rozpraw z dziedziny filozofji i sztuki, a przede wszystkim z dziedziny literatury i zagadnień z życia literackiego. Artykuły te mają przeważnie charakter sprawozdawczy lub informacyjno-bibliograficzny. W większej rozprawie p. t. „Dante a Islam” referuje prof. Sobeski wielką polemikę, jaką wywołało rewelacyjne dzieło hiszpańskiego uczonego Miguela Asiena, rzucającego przekonywującą i uzasadnioną hipotezę, że motywy „Boskiej Komedji” uważane dotychczas za najoryginalniejsze pomysły Dantego, zaczerpnięte są ze źródeł arabskich. Obok artykułów z zakresu dantologii znajdziemy w książce prof. Sobeskiego referaty takie, jak np. „Poezja czysta” (o głośnym sporze między Valérym a księdzem Brémond), „Z perypetyj włoskiego futuryzmu”, lub oryginalny przyczynek do twórczości Przybyszewskiego p. t. „Przybyszewski wczoraj a dzisiaj”, rzucający nowe światło na pierwiastki schopenhauerjanizmu i romantyzmu, zawarte w filozofji i estetyce twórcy „nagiej duszy”.

Inne rozprawki dotyczą zagadnień życia literackiego i kulturalnego Francji i Włoch; pozatem znajdziemy również interesujące artykuły filozoficzno-estetyczne, wśród których do ciekawszych należy artykuł o estetyce architektury nowoczesnej.

Jakkolwiek książka prof. Sobeskiego nie stanowi jednolitej całości, ani też ze względu na swój charakter, nie może być uważana w całości swej za oryginalny dorobek twórczy, jest jednak przecież wydawnictwem pożytecznym ze względu na swój informacyjny charakter, jak również świadczy o dużej rozległości zainteresowań jej autora.

mt.

Z BIBLIJOFITSKIEJ ANTOLOGJI

(Ku wspomnieniu Guttenberga).

I.

Długo myśl się po świecie błąkała
Jako duch jej rodzic, niewcielona,
I by mądrość pochwycić w ramiona,
Promienista, zapragnęła ciała.

*I w postacię się zwierząt odziała,
Do piramid uczepliła łona,
W tajemnicze kształty zasklepiona,
W sarkofagu kamiennym konata.*

*Owinięta w pargaminów zwoje
Jak w pieluchy, niby Nilu czara
Rozlewała na świat woni zdroje,
I młodzieńcza, choć światłością stara
Gdy podniosła jak cedr ciało swoje,
Rozwiała się pod mieczem Omara!*

II.

*Potem, w pieśni, w struny arf zakłęta,
Europę, grząc sławą przebiegła,
Bohaterów do wojny podżęta,
Ziemia w herbach ujrzała ją święta.*

*Lecz dla ludu tajemna, nietknięta,
Nigdy z serca do serca nie wbiegła;
Tylko możnych baronów wież strzegła,
A lud dźwigał laurowe ich pęta.*

*Bo i sfinksa głazowe oblicze,
Pargaminy, — trubadurów hymny, —
Herb barona — i wstęgi dziewicze, —
To dla myśli tylko trup był zimny.
Bo pragnęła skrzydlatego ciała,
By jak piorun ludzkość obleciała!*

III.

*Przyszedł mąż co na nowo ją wcielił,
I skaczącą przez czcionek miliony
Jak płyn gromu po drucie puszczony,
Wnet pomiędzy miliony rozstrzelił.*

*Życia wiekom umarłym udzielił,
Świat z przyrodą rozgadał uczony,
W przyszłość okiem proroczym wpatrzony,
Ludzi budzić się ze snów ośmielił.*

*O cześć Tobie, cześć Twoim popiołom!
Miecz dzisiejszych Omarów bezsilny
Wydać wojnę swobody aniołom,
Lub wynieść myśli pod kamień mogiły!*

*O cześć Tobie! — ku słońcu swobody
O dwa wieki zbliżyłeś narody!...*

(Bezimiennie w „Piśmiennictwie Krajowym” 1841.
s. 159 — 160).

(Wybr. Este).

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Jerzy Paweł Kor. Radzimy Panu jeszcze raz uważnie przeczytać te hymny. Otóż, prócz rymów, pewnych rytmów — niema tam nic! Jest patos, zapach które niestety niczego nie wyrażają. Jakiego uniesienie, radość, czy smutek nieokreślony, — z powodu czego, kogo? Czytelnik nie może do-

myśleć się tego na podstawie danej lektury. Radzimy zarzuć ten sposób pisania i brać się do rzeczy małych, pomniejszych, pozornie niewdzięcznych. Jako ćwiczenie: Wyrażać wielkie uczucia za pomocą spraw małych, wydarzeń nikłych, opowiadanych, czy rymowanych z najszczerzą prostotą poezji. Niechno Pan spróbuje tej sztuki, — a śmiać się będzie niebawem ze swych napuszonych hymnów.

Nina Kr. Żałujemy niezmiernie, że dyskusja ta została już zamknięta. Dlaczegoż tak późno wybrała się Sz. Pani ze swą odpowiedzią. Teraz już nie będziemy mogli z artykułu korzystać.

Rafał Land: Drukujemy Panu:

Podczas jednego cichego wieczoru
Obiegły moją głowę myśli - wiry;
Wpatrzony w przestrzeń wielkiego otworu,
Słyszałem ciche, tęskne tony liry.

Nie zmieniliśmy nawet interpunkcji. Sam Pan jednak widzi chyba, jaki to nonsens!

Hadasa, Krzemieniec: Narodowość, wyznanie, przekonania polityczne, — cóż to znaczy, gdy chodzi o ocenę wiersza? Nic. Gdyby Pani była księżniczką krwi i napisała liche wiersz, — powiemy, że wiersz jest liche i basta. Cóż powiedzialaby Pani jednak, gdyby stolarz chciał robić buty a szewc, zapragnął nagle zastąpić przy sztalugach Pankiewicza, czy Boznańską? Powiedzialaby Pani, że bierze się nie do swojej roboty. Że powinien uczyć się przed tem rzemiosła, względnie sztuki, którą chce uprawiać. Radzimy — uczyć się, potem dopiero pisać.

Stan. Kaz. Sta. Maczki: Niestety — oba utwory niewiele warte. Minęły już czasy demonizmu kawiarni. Dziś ludzie przychodzą do kawiarni, aby się napić kawy, czy herbaty, ewentualnie potańczyć, oczywiście poplotkować i obgadać swych najbliższych.

Woj. B. Poznań: Nie nie i nie. Nie posuwa się Pan na przód, nie pracuje Pan, nie widać żadnych nowych zagadnień, nie słychać nowych rytmów, nie widać, nie czuć walki o nowe zdobycze, o nowy wyraz poetycki. Bardzo nam przykro pisać to Panu po roku wspólnej pracy. A jednak, — prawda! Przewidywaliśmy już dawniej tę jakąś przedwczesną sklerozę talentu. Musi się Pan z tego otrząsnąć. Jak? Przestać pisać, zakazać sobie pisać. Czytać filozofów, myślicieli, szukać ludzi pracy, ludzi natchnienia, ludzi cierpienia, patrzeć, jak tworzą, jak walczą, czekać aż przyjdzie to gorące słowo, które natchnie Pana jakimś nowym życiem.

Hen. Ostrów: Przysłał Pan słabiutki wierszyk, tymczasem konie tak dzielne, jak te z zawodów hippicznych warte są o wiele lepszej poezji.

Jan C. Ostrzeszów. Pisze Pan: „Dziewczyno, tyś jak motyl jest zwiewny, jak pajęcza nie złota. Dziś jesteś, jutro ulecisz w szlak podniebny, po tobie tylko w sercu tęsknotą! Wydrukowaliśmy tę zwrotkę, jako wzór banalności i brzydoty pospolitej na niwie słowa rymowanego. Dziewczyna nie jest żadnym motylem, — porównanie bezsensowne. Dziewczyna to taki sam człowiek, jak Pan i w tem właśnie jest poezja a nie w motylkowatości. Jak pajęcza nie złota? Nonsens! Ładna nie pajęcza. — podoba się nam w kobiecie między innymi i postawa. — u licha, — nie zaś pajęczyna. Gdzież ma znów latać ta dziewczyna w jaki szlak podniebny? Nonsens, — brzydota, — pospolitość.

Roman Kr. Mówimy Panu odrazu. — wiersze te nie mają żadnej wartości!

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „Literacka”, N.-Świat 22.

Przesyłka poczt. opłaconą ryczałtem.